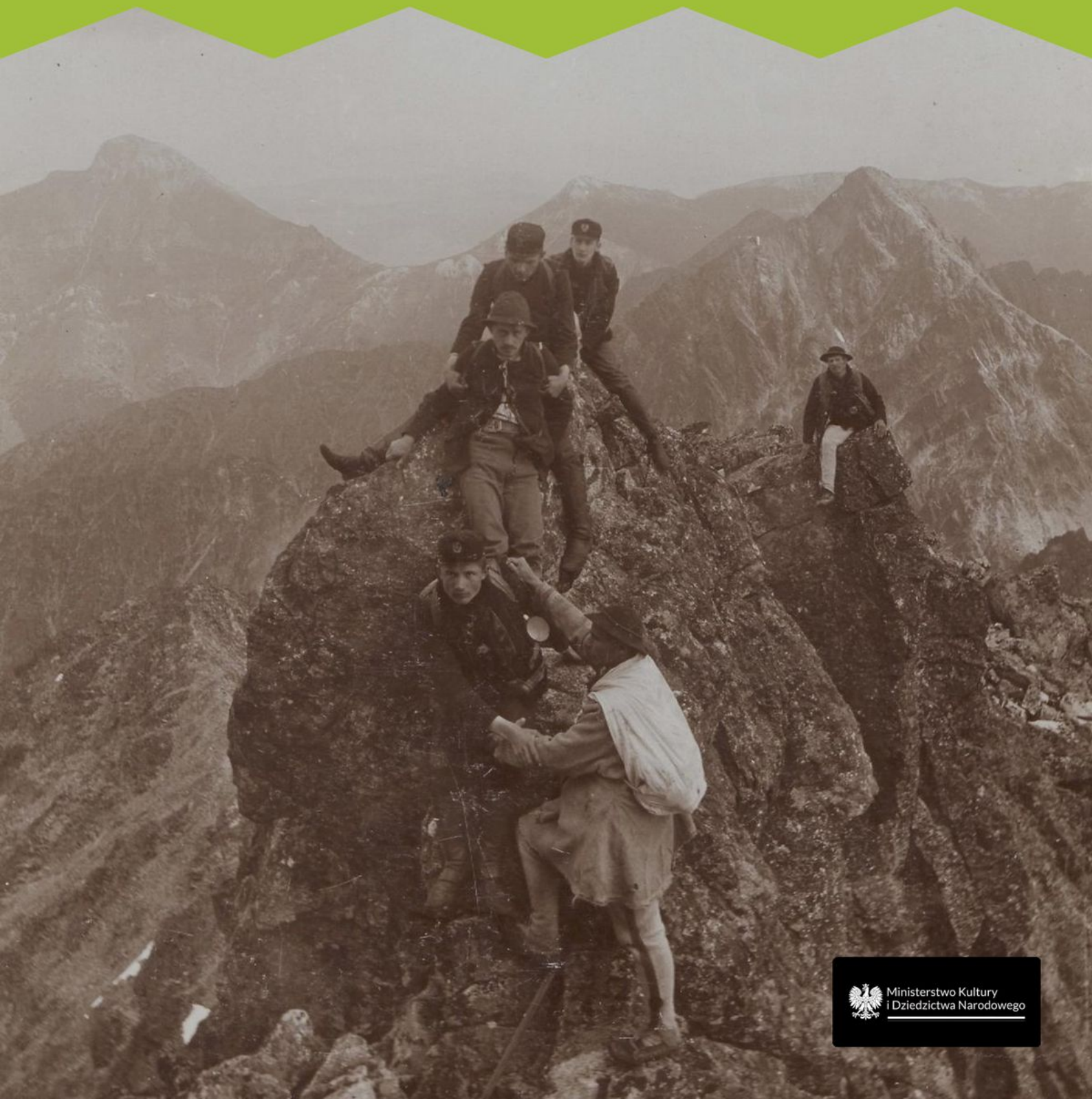


# Sześć dni w Tatrach



TYTUS CHAŁUBIŃSKI

# Sześć dni w Tatrach

WYCIECZKA BEZ PROGRAMU

## WSTĘP

Minęło kilkadziesiąt lat od chwili ukazania się tego artykułu w „Niwie” i w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego” z 1879 roku. A jednak do dziś dnia nie straciły żywości jego barwne opisy wyprawy w tatrzańskie, mało dostępne podówczas turnie, jego pogodny humor i iście taternicka „bezprogramowa” niefrasobliwość górskiej włóczęgi. Dla dziejów szlachetnego taterniczego sportu dokument to historyczny, zawierający pełen odczucia piękna Tatr obraz, jak dawniej chodził po wierchach „król tatrzański”, dr Chałubiński Tytus. W spisie jego prac, wyłącznie poświęconych przyrodzie i lecznictwu, jedyny, wyjątkowy to artykuł o wycieczce.

Dla tych, którzy nie znają jeszcze wdzierania się człowieka w skalne szczyty, dla tych, którzy nie mieli sposobności zaznajomienia się z legendarną postacią autora, podajemy niniejszy przedruk. Niechaj roztoczy się przed nimi cały urok słynnych niegdyś na całą Polskę wypraw Chałubińskiego w towarzystwie 30–40 górali, z nieodstępną góralską muzyką sławnego Sabala<sup>1</sup> i żyjącego do dziś dnia Bartusia Obrochty<sup>2</sup>, kiedy to „Pieśń, muzyka, taniec szły z nimi”, kiedy „przechodzili tak całe Tatry wszerz i wzdłuż”. A kogo zaciekawia te romantyczne górskie wędrówki i ich inicjator, niech sięgnie do innych opisów. Znajdzie je w książce Witkiewicza *Na przełęczy*, we *Wspomnieniach* Wojciecha Kossaka, w Ferdynanda Hoesicka *Legendarnych postaciach zakopiańskich* (drukowane w „Przewodniku Naukowym i Literackim” w 1920 r.). Kto ma sposobność, niech nie zaniedba zajrzenia do artykułów Bronisława Rajchmana (*Wycieczka do Morskiego Oka*, w „Ateneum” i *Wycieczka na Łomnicę*, dodatek do „Wędrowca”) oraz Balsa Karola, Belgijczyka, który pod kierunkiem Chałubińskiego zwiedzał nasze góry (w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego”, t.VIII. z 1883 r.).

Prof. Tytus Chałubiński, na którego cześć nazwano Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, a którego pomnik ujrzycie na zbiegu dróg ku Kuźnicom, jest jednym z najwięcej zasłużonych koło<sup>3</sup> rozwoju i sławy Zakopanego. Wybitny pionier taternictwa, odkrywca szeregu dróg na niedostępne dotąd szczyty, inicjator założenia Towarzystwa Tatrzańskiego, szkoły snycerskiej i koronkarskiej w Zakopanem, dobroczyńca miejscowej ludności, oto charakterystyka autora „Sześciu dni”, oto szczegóły, na których opiera się jego znaczenie i niezapomniana działalność na Podhalu.

Zmieniły się czasy i ludzie; rozrosło się w jarmarczne środowisko Zakopane; dostęp do Tatr uprzystępnili turyście ścieżki, klamry i łańcuchy; ciszę i majestat gór zakłócają wrzaskliwe czeredy letników... Dla tych, którzy nie mogą się pogodzić z dzisiejszym Zakopanem, jakiś dziwny, przyciągający urok mają opowiadania, jak „drzewiej” bywało. I spod serca wyrwie im się staroświecka nuta góralskiej piosenki: „Kany sie podziały starodawne casy”...

Jaz.

<sup>1</sup>Sabala, właśc. Jan Krzeptowski (1809–1894) — znany przewodnik tatrzański, gawędziarz, autor baśni i muzykant. W swoich utworach opisywali go Henryk Sienkiewicz, Stanisław Witkiewicz, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Władysław Orkan i inni. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Obrochta, Bartłomiej (1850–1926) — przewodnik tatrzański i znany muzykant. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>koło — dziś popr.: dla. [przypis edytorski]

Rzadko tak wielu skarg na pogodę w Tatrach, jak w ubiegłym lecie.

W istocie lipiec i sierpień do połowy był bardzo dżdżysty. Najzawziętsi „taternicy” (tak zowią w Zakopanem tych, którzy dużo po Tatrach chodzą) zaledwie mogli upatrzeć stosowną chwilę, by „wyskoczyć” na swoje ulubione „wirchy”, a i tych często taka spotykała „psota”, że za powrotem wyglądali raczej jak podróżnicy spod bieguna północnego. Inni znów pocieszali się, że wśród kilkudniowych deszczów lub śniegów mieli chwilę „wspaniałe, przypominające stworzenie świata, a mianowicie odłączenie wody od łądów, światła od ciemności” itp.

Zmuszony w drugiej połowie sierpnia opuścić Zakopane, wróciłem tamże dopiero we wrześniu, znękany moralnie i fizycznie, z małą już nadzieją pokrzepienia się na siłach. Wróciłem z deszczem, choć termometr stał najwyżej z całego lata. W parę dni barometr zaczął spadać, a pogoda się polepszyła, nie podobna było odwlekać. Zorganizowałem sobie wycieczkę „bez programu”, byle przeżyć kilka dni w górach.

W Zakopanem zaledwie kilka pozostało osób. Z wytrawnych taterników jeden tylko pan Stanisław Kruszyński, doktor filozofii, obecnie kończący specjalne studia rolnicze w Dublinach, zgodził się chętnie na tak utytułowaną wyprawę. Dobraliśmy sobie dziesięciu walnych górali.

Dla Boga, a po cóż tyle! No naturalnie dlatego, aby nam było weselej. Bylibyśmy może wzięli i więcej, ale już i pozoru brakło do tego.

I tak w orszaku naszym było, nie przymierzając, jak w owej dawnej piosence, malującej niby to pogrzeb Malbrougha, na którym

*L'un a porté ses bottes  
Et l'autre a porté les siennes<sup>4</sup>.*

Większa część górali czekać nas miała w Roztoce, my zaś z mniejszą liczbą pojecha-  
liśmy wózkami niez mordowanymi w jeździe i śpiewie Marcina Tadzika.

Że w Tatrach i na Podolu wszystko i wszędzie jest piękne, byle słonko świeciło, o tym wiedzą wszyscy, którzy choć na chwilę tam byli. Ale wiedzą też taternicy, że mając dalszą wycieczkę przed sobą, odległości przedwstępne, zwłaszcza przez Bukowinę, przez którą tyle razy się już jechało, wcale nie są zabawne. Nie mówię już o złej, kamienistej drodze, o niewygodnym siedzeniu. Do pierwszej od dawna się przyzwyczaiło. O drugim mówią górale, kiedy im się robi uwagi, że mogliby lepiej urządzić siedzenie: „kto chce dobrze siedzieć, niechaj siedzi doma”.

Najwięcej się przykrzy w czasie tych wstępów strata czasu i to pogodnego. By więc skrócić, a raczej osłodzić ów wstęp do wycieczki, trzeba sobie dobrać takiego na przykład Marcinka. Para dobrze wyglądających siwków, porządna uprzęż; wózek mniej wprawdzie okazały, ale wypróbowanej wytrzymałości; powódki (lejce) skrzyżowane — oto ekwipaż. Marcin jest postępowy; dotychczas zaledwie trzech czy czterech górali ma takie powódki. Twierdzą bowiem w ogóle, że „mądry koń obejdzie się bez tego”. Goście są wprawdzie innego zdania, a co rok zdarzające się wypadki, głośnie dopominanie się o rozsądniejszą uprzęż, może przecie kiedyś poskutkują. Teraz sam Marcinek: małego wzrostu, szczupły, ale krzepki i wielce ruchliwy, a o konie staranny. „Na mnie ta funta mięsa nie ma, ale chłop jak się patrzy” — mówi on o sobie. Byłe usłyszał muzykę, już mu się usta nie zamkną; w drodze miejsce tańca zastępuje mu nieustanne zeskakiwanie i wskakiwanie na wózek, w miarę tego jak jedzie, pod górę, czy z góry, galopowanie po kamieniach lub wskoczenie na koń, gdy jedzie przez wodę. Najlepszym świadectwem dla niego jest, że go wszyscy górale lubią.

Oddawszy należytą cześć „Głodówce”, na której kilka minut przynajmniej wytchnąć trzeba, jedziemy ku „Lysej”. W tym miejscu biedny Marcinek musi za każdym razem wytrzymać kilka pocisków, jakich mu, bez złej myśli wprawdzie, nie szczędzimy z powodu wywrócenia nas niegdyś w glińską wodę. Humorystycznie, a z sumiennością historio-  
graфа opisał tę przygodę p. Bronisław Rajchmann (Ateneum, grudzień 1877 r.). Marcin istotnie nic a nic nie był winien, bo po ulewnych deszczach wszystkie wyboje zostały

<sup>4</sup>*L'un a porté ses bottes Et l'autre a porté les siennes* (fr.) — Jeden nosił jego buty/a inny nosił własne. Trawestacja fragmentu popularnej w XVIII i XIX w. piosenki francuskiej *Malbrough s'en va-t-en guerre* (Malbrough idzie na wojnę). [przypis edytorski]

wodą zalane. Był jednak wielce zmartwiony, a to dlatego, że „jak mi Bóg miły, to mi się pierwszy raz w życiu przytrafiło”.

Nie frasuj się Marcinku — rzecze mu na to wówczas profesor Wrześniowski w komiczno-patetycznym tonie — to tylko pierwszy raz najtrudniej.

Marcinek nie mógł się od razu opamiętać, czy to żart czy na serio było powiedziane, teraz już się tylko śmieje<sup>5</sup>.

Przybywamy do Roztoki. Cicho tu, głucho, nie witają nas jak niegdyś wystrzały uprzejmego górala Franka Doruli z Poronina, który gospodarząc tu dawniej (w roku bieżącym trzymał on w lecie schronisko przy Rybiem), nigdy sobie tej satysfakcji nie odmawiał. Wokoło schroniska wiatr tylko szumi, bydło z pastwisk już spędzone, a i naszych też górali nie ma jeszcze. Miarkując po mojej zmęczonej fizjonomii wnosili może, że dziś zanocujemy w Roztoce i dlatego się nie spieszą. Nadchodzą wreszcie. Po krótkim odpoczynku żegnamy się z Marcinkiem powierzając mu uspokajającą depeszę do rodziny. Postanawiamy, aby korzystając z pogody i ciepła zająć na noc, jeśli się uda, do Wielkiej (po węgiersku i niemiecku Felka), w której na miejsce dawnego, przez lawinę zburzonego schroniska, węgierski Klub karpacki nowe, wspaniałe i wygodne urządził.

Ulewnie deszcze poznosiły kładki na Białej Wodzie, idziemy więc nie dołem nad potokiem, ale wyższą drogą wzdłuż „Szerokiej”. Piękną tę dolinę zna wielu turystów, bo tędy idzie się od nas i na Polski Grzebień i choć rzadziej pod Lodowy, przez Szeroką i przez Rówienki do Staroleśnej i do Zielonego Stawu pod Gerlach; na Żelazne Wrota, na Czeskie, Wysoką, Rysy. Droga leśna poprzerywana polanami i żlebami, z których częsty widok na prostopadłe ściany Młynarza, na Gerlach, Ganek, Wysoką.

Coraz bardziej rosną pola owych wieczystych śniegów rozścielonych u spodu Żelaznych Wrót od Gerlachu do Ganku. W końcu doliny cudna, przeźrocza, spokojna jeszcze w tym miejscu Biała Woda, ze swymi kilku skałami, wabiącymi różnobarwnym kobiercem mchu i zieleń. Toteż droga ta ze wszystkich lesistych najmniej się przykrzy.

Znów maleńki wypoczynek przy schronisku, jakie tu wystawił baron Salamon „pod Wysoką”, właściwie mówiąc pod Żelaznymi Wrotami i znów dalej i wyżej. Idziemy systematycznie, wolno, ale za to z bardzo krótkimi odpoczynkami, prawie o zachodzie słońca jesteśmy dobrze nad granicą lasów, w długiej, prawdziwie alpejskiej dolinie, wiodącej do przełęczy zwanej „Polskim Grzebieniem”.

Nie troszczymy się wiele, że wieczór zapada. Droga wprawdzie długa, ale dobrze znajoma, nawet bardzo wygodna, zresztą mamy jakąś szansę oświetlenia księżycowego, choć niebo niezupełnie jeszcze czyste. W najgorszym razie na przypadek ciemności lub niepogody, będziemy nocować gdziekolwiek bądź, byle jeszcze w krainie kosodrzewiny. Mamy namiot, zapasy, orkiestrę i śpiewaków, a powietrze „Wirchów” już czarodziejski wpływ swój wywiera.

Pomimo, że idziemy wciąż w górę, już pierś swobodniej oddycha, zdaje się, że za każdym krokiem sił przybywa, a raczej, że cię skrzydła jakieś na wół unoszą, bo istotnie nogi nie czują już ciężaru ciała. Skracamy czas muzyką. Mamyż bo muzykę dobraną. Te tęskne, dzikie, a tak urocze dźwięki staroświeckiej pieśni, którą Sabała (Jan Krzeptowski) z nienaśladowanym przez żadne młodsze siły akcentem wygrywa. To znów rześkie, różnorodne, z całego Podhala zebrane pieśni i tańce, które Bartek Obrokta, niewątpliwy talent, biegłym smyczkiem wyrzyna. Instrument Sabały jest rozpaczliwy, powiedziałbyś, niemożliwy prawie. Nie są to bowiem skrzypce, ale jak on je zowie „gęśliki”, coś przypominającego niby skrzypce, ale w pierwotnej formie, jakie dziś można widzieć jeszcze np. w muzeum Mozarta w Salzburgu.

Mimo największej biegłości grajka, niepodobna tu uniknąć nieraz skrzypienia lub dojmującego pisku. A jednak w górach muzyka ta nie tylko nie razi, ale jest pożądana, upragniona. Jest ona harmonijnym dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń. Tak jak wprawny już taternik zapominać musi o nierówności drogi, o skałach zawadzających

<sup>5</sup> Oddawszy należytą część „Głodówce” (...) teraz już się tylko śmieje — Z powodu Głodówki muszę tu nadmienić, że jakkolwiek widok stąd jest piękny, a motywy prawie też same, co z Jaworzyny Rusinowej i Gęśiej Szyi, jednakże z tego ostatniego punktu daleko jest więcej imponujący. Polecam go też wszystkim idącym do Morskiego Oka przez Waksmundzką. Wspaniały ten obraz tym jest miłszy i tym bardziej wdraża się w pamięć, że zresztą droga ta jest lesista, jednostajna, a zboczenie przez tak zwany Suchy Wirch wcale nie jest utrudniającym. [przypis autorski]

jego krokom; jak nie odwróci jego uwagi od cudnych efektów światła, od śmiałych konturów dzikiej turni jakies przejście wydające się mniej wprawnemu już „karkołomnym”, jak głód lub pragnienie, upał lub zimny nieraz przeszywający wiatr nie zmniejszy uroku tych majestatycznych obrazów, tak samo wadliwość konstrukcji owej gęśli, jakiś ton ostry i zbyt przenikliwy, nie zatrze głębokiego wrażenia melancholijnej, ale bujnej pieśni dawnych „zbójników” lub ochoczej, skocznej, lubo nieco wrzaskliwej melodii na wół dzikich „juhasów”. Przy tym Sabala jest niewyczerpanym w *parafrazach*<sup>6</sup> i *fioriturach*<sup>7</sup>; rzadko kiedy dwa razy jedną melodię w zupełnie ten sam odda sposób. Do tańca górale dzisiejsi wolą muzykę Bartka, Kowala i innych dobrych skrzypków, ale wszyscy się na to zgadzają, że dawnych pieśni nikt już tak nie zagra, jak Sabala. Przed kilku laty wybrałem się z kilku turystami i kilkunastu góralami, aby od „Osobitej” ostatniej w łańcuchu zachodnim Tatr góry, przejść graniami (grzbietami) całe polskie Tatry. W przeddzień rozpoczęcia tej kilkodniowej wycieczki przybył do Zakopanego pan Robert W., krzepki gimnastyk i chętny towarzysz do gór.

— Pójdź pan z nami — rzekłem do niego.

— Najchętniej, ale proszę, aby pan ... (znany i zasłużony artysta muzyczny z Warszawy), z którym przyjechałem, mógł iść także. Silny jest i chodzi dobrze.

Na próżno przedstawiałem mu niepraktyczność tego zamiaru. Wiadomo, że najwytrwalsi piechurzy, nawet strzelcy z dolin, nie mogą bez poprzedniej wprawy chodzić na większe wycieczki w górach. Nie będę tu opisywał przygód pana ... przez ciąg jednego dnia, jaki z nami przebył, dość na tym, że przed wieczorem był tak znużony, że wśród równej zresztą drogi po jakiejś grani padł jak nieżywy i ani ruchu, ani słowa nie można było z niego wydobyć. Zbiegliśmy się wszyscy, starając się go ocucić z tego jakby letargu — na próżno, nawet oczu nie otworzył.

— Jasiu — zawołałem wtedy na Sabalę — zagraj no temu panu, bo to też muzykant (przepraszam, ale nie umiałem się zrozumialej wyrazić), to mu pewnie najlepiej pomoże.

— A zaraz, proszę Ich Miłości — rzecze Sabala, który i w mowie, jak w muzyce, ma swoje staroświeckie formy.

Dobywa co prędzej swoich „gęślików” z rękawa czuchy, w którym je zwykle nosi i dalejże jakąś pieśń góralską.

— A toż cooo?! — zapytał otwierając oczy i machinalnie podnosząc się pan ... Sabala grał dalej, a pan ... dzięki tej muzyce zabrał się do herbaty, którą pokrzepiony, mógł z przewodnikami swymi zejść w Chochołowską Dolinę, skąd na noc dostał się szczęśliwie do Zakopanego. Odtąd śmiejemy się z Jaśka, że i umarłych swoją muzyką wskrzesi.

Zanim dojdziemy do Polskiego Grzebienia, przełęczą na przeszło 6500 stóp<sup>8</sup> wysokiej, a jeszcze dobry kawałek drogi i ciemny zmrok zapada, powiem Ci, Szanowny Czytelniku, że Sabala ma lat około 70, jest suchawy, ale krzepki, skóra twarzy prawie pergaminowa, wzrok nieco przymglony, ale rysy twarzy wyraziste i piękne. Całe życie był strzelcem na swoją rękę; ubił dużo niedźwiedzi, a innej zwierzyny bez liku. Pomimo osłabionego wzroku, ubiegłej jeszcze jesieni strzelał do niedźwiedzia, którego nikt lepiej od niego nie „wyszlakuje”.

— A jakżeż wy to, Janie, z takimi oczami możecie chodzić jeszcze na niedźwiedzia?

— Eh, proszę Ich Miłości, to już tak jest, albo ty mój, albo ja twój — odrzeknie nieustraszony strzelec, dla którego zresztą, jak dla większej części górali, narażenie życia należy do takich małości, że i mówić co o tym nie ma. Latem i zimą nie zagrzeje miejsca w domu. Rządna gaździna (gospodyni), żona jego i dobre, pracowite dzieci, prowadzą gospodarstwo, i dzięki temu p. Jan źle się nie ma. Czasem dla ochoty weźmie się do kosy i siekiery. Ale wnet zaopatrzwszy się w kierzce (obuwie ze skóry, rzemieniem do nogi przywiązane) i naładowawszy torbę, idzie z „gęślikami” do lasu lub w hale. Na Orawie, Liptowie, na kilka mil wokoło, wszędzie go znają i wszędzie „radzi widzą”, tak dla jego muzyki, jak i przypowiastek, tudzież doskonałego humoru<sup>9</sup>. Kiedyś przed la-

<sup>6</sup>parafraza — swobodna fantazja instrumentalna na tematy z innych utworów. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>fioritura — rodzaj improwizowanego ozdobnika w muzyce. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>stopa — daw. miara długości, licząca ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>wszędzie go znają (...) — W różnych miejscowościach, różnie go też zowią: Janko Sablik, Janek Czakor; Krzeptowski jest nazwiskiem rodziny; Sabalą nazywają go od posiadłości, którą po ojcu odziedziczył. [przypis autorski]



ty przyciśniętemu jakimiś opłatami, wyprowadzono ostatnią krowę na sprzedaż. Jasiak usiadł przy drodze i grał, „żeby jej” (krowie) „weselej było opuszczać zagrodę”.

— A jakoż to wy Janie wcale się nie trapiacie, że wam resztę statku zabierają?

— Eh, smutkiem żyć to się nie oplaci — rzecze nasz filozof i gra dalej.

Muszyci się przyznać, czytelniku, że z Jasiem w bardzo życzliwych jesteśmy stosunkach.

— Oj Jasiu, Jasiu — mówię mu kiedyś — jaka to szkoda, żeśmy na świat nie przyszli oba tak ze sto lat wcześniej, bylibyśmy może razem i „poza buczki wyskoczyli<sup>10</sup>”. Może byśmy co prawda i razem kiedy zawiśli za żebro na haku, jak Janosik, ale zawsze szkoda.

— O hej! (znaczy: a tak) — rzecze śmiejąc się Jan, któremu aż się oczy zaiskrzyły i potarł nos rękawem, bez żadnych naglających powodów, ale tak sobie z przyzwyczajenia.

Sabała jest nieodzownym członkiem każdej wycieczki, bo rad z nami chodzi. A nie sądzi, aby to znów było tak bardzo łatwą lub zwyczajną rzeczą; choć grzeczny i uprzejmy, nierad idzie między ludzi, a przez wieś nawet kroczy jakby przez las, nie patrząc po stronach i grając na piszczalce lub na gęślach.

Przy plebani tylko przystanie na chwilę, zwłaszcza jeśli to jest wieczorem, a nawet w nocy i zagra jedną albo drugą „staroświecką”, bo wie, że „Jegomość” to rad słyszą. Wiadomo, że zacny i pełen zasługi pleban zakopiański nie znosi śpiewu i muzyki po drogach, po ulicach we wsi, ale Sabała stanowi wyjątek i słusznie. Przecież i policja paryska tak czujnie powściągała zbyt jaskrawe ruchy tancerzy w Mabilie<sup>11</sup>, codziennie z pobłażaniem patrzyła przez długie lata na wcale niedwuznaczny sposób tańczenia kontredansa przez pana Chicard, wynalazcy, jak mówią, kankana; *à tout Seigneur tout honneur*<sup>12</sup>.

Po ogłoszeniu nowego prawa o pijaństwie, Sabała bojąc się, aby go śpiewającego i grającego po drodze nie wzięto za pijaka, mówił, że sobie musi kupić garnek i że w garnek będzie śpiewał, by go daleko nie było słyhać.

Ale oto przeszliśmy już rozległe, coraz bardziej ku południowi zwrócone tarasy. Dolina, jak wszędzie w Tatrach rozszerza się u góry, piętra coraz stromsze<sup>13</sup> i bliższe jedne drugim. Kosówkę już zostawiliśmy daleko za sobą. Coraz mniej trawy, a coraz więcej nagich głazów; czujemy to nogami, bo dojrzeć tu już nic nie można, dobrze ciemno, spokój wokoło, muzyka i śpiew przycichły, ale idzie się rześko. Obecna chwila nie troszczy nas wcale i to właśnie tłumaczy dotykalny i zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł. Wielkie słowa przyrody, sama ta nawet uroczysta cisza wśród drzemiących granitowych olbrzymów, przemawia do nas podnosząc serce i krzepiąc do trudów i boleści życia.

Mijamy „Zmarzły Staw”. I tu dziś cicho, ale nie zawsze tak bywa. W sierpniu 1876 roku wracając z „Wysokiej” wyskoczyliśmy sobie w kilku na Polski Grzebień. Dzień był pogodny, lecz po południu powstał silny wiatr północny. Zbliżając się do Zmarzłego Stawu z podziwieniem słyszymy coraz wyraźniejsze, w końcu bardzo donośne dźwięki, jakby ogromnej szklanej harmoniki. Tony wysokie i niskie, ale niezwiązane w harmonię, owszem, rażące dzikim nastrojem. Badamy przyczynę. Łód, który tu mniejszymi lub większymi wysepkami przez całe lata się utrzymuje, stanowił jądro, około którego na znacznej przestrzeni potworzyły się nowe, duże, mniej więcej równoległe kryształki i sople. Silny wiatr wstrząsał powierzchnią wody i powodował uderzenie o siebie tych improwizowanych klawiszów. Jeszcze na paręset stóp wyżej stawu dochodziły nas te jaskrawe rozdźwięki. Śmiejąc się, pytaliśmy wzajemnie, czym mogliśmy obrazić względniego zresztą zwykle dla nas ducha tych dzikich miejsc, że nam taką kocią muzykę wyprawia. A zawział się był nie na żarty. Na przełęczu raz tylko wówczas spojrzeliśmy na słońcem jeszcze oświetloną węgierską stronę i nagle otoczyła nas zimna, gęsta mgła.

Wicher przejmujący zmuszał do rychłego powrotu. Wkrótce i śnieżne krupy zaczęły ciąć po twarzach. Jednemu z górali wiatr zerwał kapelusz i głęboko w Wielką Dolinę zaniósł. Spiesznie zaczęliśmy zstępować ku niezakrytemu jeszcze owemu zaczarowanemu

<sup>10</sup>poza buczki wyskoczyli — „wyskoczyć po za buczki”, znaczy do dziś dnia iść na zbój, zostać zbrojnikiem. [przypis autorski]

<sup>11</sup>Mabilie — miejsce w XIX-wiecznym Paryżu, gdzie odbywały się zabawy taneczne. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*à tout Seigneur tout honneur* (fr.) — każdemu według zasług. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>stromsze — dziś popr.: bardziej strome. [przypis edytorski]

jezioru. Ale mgła uprzedzała nas. Przechodząc mimo niego słyszeliśmy wciąż owo *charivari*<sup>14</sup>, teraz już spod gęstej białej zasłony wychodzące. Nie ręczę, czy pod tą zasłoną, rade z psoty nam wyrządzonej, zimne postaci górskich duchów nie wyprawiały harców po owej lodowej klawiaturze. W godzinę potem z pogodą zstępowaliśmy w cichą i ciepłą dolinę Białej Wody.

Dziś Zmarzły Staw był cichy, ciemność nie dozwalała rozróżnić, czy dużo lodu przetrwało przez lato. Wspinamy się nareszcie ku samej przełęczy. Lekkie tylko mgły okalają sam wierzchołek Gerlachu, a i te przepędzane są silnym, lecz już bardzo wysokim prądem północnego wiatru. Przed nami od południa niebo czyste i jasne. Księżyc dopisał. Jeszcze parę kroków w ciemności po śliskim, na tatrzańskich przełęczach zwykłym łupku i otóż jesteśmy na Polskim Grzebieniu. Długi ten grzbiet łączy Gerlach ze Staroleśniańskim Szczytem, leżącym ku północnemu wschodowi. Światło księżycza oblewa nas od razu. Poza dwumilową prawie Doliną Wielką błyszczą osrebrzone blaskiem faliste równiny Spisza. Obieramy sobie najwygodniejsze miejsca i rozkładamy się swobodnie. Wiadomo, że siadać na wycieczce jest to szukać zmęczenia i bólu nóg. Górale nigdy nie siadają, chyba przy wieczornym już ognisku przed spaniem. Dobrze nam tu i mamy mocne postanowienie rychło stąd nie ruszać. Pokrzepiamy się resztą ciepłej jeszcze herbaty, którą Wojciech Raj nieodzownie na wszystkie nawet szczyty przynosi; skrzypki i śpiewy znów zagrzmiały. Czyby się zdziwił Gerlach wesołej i naraz tak gwarliwej drużynie, dość, że uchylił lekką gazę obłoków, którą czoło swe snadź do snu przysłonił i z wyraźnym pobłażaniem dobrotliwie na nas spojrział. To mu się niekoniecznie często zdarza. Powitaliśmy go głośnym okrzykiem, ba, nawet Jaś Gronikowski „wygarnął” z jakiejś rusznicy, którą na podobny cel z sobą zabrał.

Gerlach połknął sam ten hołd, bo w tym miejscu nie ma go z kim tak dalece podzielić. Nie ma innych ścian, po których by się echo rozlegać mogło. Widocznie korzystając z dobrego humoru olbrzyma, młodociany, bo jeszcze przepołowiony księżyc, idąc gdzieś z śmiejących dolin spiskich, zaczął się spinać na jego boki i ramiona. Śmieliśmy się, że w młodocianej swej nieświadomości idzie tą samą drogą, co niegdyś przy pierwszej wyprawie na Gerlach nasi Zakopianie i że mu się nie uda tędy dosięgnąć szczytu. Tak się stało, po jakiejś godzinie musiał zejść, jak oni wówczas do „kotliny”, zostawiając nas więcej niż w półcieniu.

Czas był ruszać, bo droga do pierwszego stawu Wielkiej Doliny bardzo spadzista a i potem jeszcze daleka. Przy wodospadzie dopadliśmy znowu światła księżycowego, a wkrótce około jedenastej w nocy znaleźliśmy się w schronisku. Przepych, komfort! Rozumie się, tatrzański. Obszerna, dachem objęta weranda, naokoło duże izby, okna, klamki i zamki, piece nawet, rzecz dotychczas tylko w tym jednym miejscu w Tatrach praktykowana. Zastaliśmy jeszcze i jakiegoś stróża w schronisku. Był to Spiszak, mówiący, jak się przy rozstaniu pokazało, aż trzema językami, ale aż do następnego rana górale nasi mieli go za niemowę. Widocznie przerażony był tak licznym, z gór naniesionym towarzystwem, orkiestrą i butną miną górali. Kto wie, czy nie miał jakiejś wątpliwości co do legalnego stosunku naszego grona z resztą społeczeństwa; czy, mówiąc wyraźniej, nie wziął nas raczej za „zbójników” niż za turystów.

Rozgospodarowaliśmy się jak najwygodniej. Turyści tuszy pana Stanisława i mojej są zdania, iż drzewo, z którego sporządzane są tapczany w schroniskach, jest bardzo twarde. Otylsi<sup>15</sup> mają to wprawdzie za przesąd. Bądź co bądź, górale nasi w jednej chwili nanieśli kilka worków drobniutkich gałązek kosówki, które z wielką umiejętnością ułożyli drzewiastym końcem na spód, a kitką do góry, z czego powstaje wcale niezły materac. Szymek jest w tej manipulacji niezrównany. Czuchy<sup>16</sup>, szale idą na wierzch i robi się posłanie, na którym jeżeli nie przespać, to przynajmniej wygodnie przeleżeć można do rana, a to już na tych wyżynach w zupełności wystarcza do pokrzepienia sił. Brak apetytu i bezsenność zdarzają się dość często u taterników na dłuższych wycieczkach, zwłaszcza wysoko. Po zejściu na doliny apetyt i sen wracają, zdaje się z procentem. Niekiedy i górale ulegają temu.

<sup>14</sup>*charivari* — rodzaj prześmiewczej pieśni, kakofoniczna parodia serenady. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*otylsi* — dziś popr.: bardziej otyli. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*czucha* — męska kurtka z wełnianej sukna, noszona przez tatrzańskich górali. [przypis edytorski]

Nie bez zazdrości słuchałem chrapania p. Stanisława, który spał jak zabity. Leżąc jednak wygodnie „nie skarżyłem się na losy”. Owszem porównywałem wykwintne zale-ty tego noclegu z inną bezsennością, jaką przed kilku laty w tej samej przepędziłem dolinie. Było to w wilię<sup>17</sup> owej pierwszej wyprawy na Gerlach, o której nieraz jeszcze wspomnieć mi przyjdzie. Byliśmy w licznym towarzystwie i pod przywództwem ks. Stolarczyka. Nie miałem wówczas z sobą namiotu. Rozłożyliśmy się przy ruinach dawnego schroniska. W nocy powstał tak zimny północny wiatr, że ani bliskość ogniska, zaledwie zresztą dającego się podtrzymać, ani przykrycie się wszystkimi rozporządzalnymi manatkami, nie było w stanie uchronić nas od kompletnego kostnienia. Spać się chciało, ale nie było można. Musiałem z kilku chudszyimi towarzyszami zabawiać się tańcem a raczej skakaniem koło ogniska. Z jakże nierównie większą zazdrością, niż dziś względem p. Stanisława, spoglądałem na smacznie śpiącego „Jegomościa”, który wyzuwszy się dla komfortu ze swoich długich butów, urągał nagimi piętami przejmującemu wichrowi. Niektórzy z towarzyszy spali także, ale nie w takiej wyzywającej postawie, owszem zwinieci w kłębek. O jakże nierównie słodsza wydała mi się noc dzisiejsza. Snadź w nagrodę skromności moich wymagań, zasnąłem parę godzin nad ranem.

Miły Czytelniku, pozwól, abym *à propos* pięt „Jegomościa” opowiedział ci jeszcze jedno ze wspomnień moich z tej doliny, a to o innych znowu piętach i z innej, choć równie mało sennej nocy. Zresztą jestem zupełnie w swoim prawie. Opisując ci wycieczkę w gó-ry, nie mogę przecież przedstawiać oczom twoim rysunku lub fotografii, przebywanych przeze mnie okolic. Mogę ci tylko wyrazami udzielić moich wrażeń i myśli. Nie jestem temu winien, że tej nocy zamiast snu, te właśnie obrazy cisnęły mi się na oczy. Uwier-rysz mi, gdy ci powiem, że bądź co bądź, wolałbym spać. Słuszność za to wymaga, abym żadnej do ciebie nie miał pretensji, jeśli i ty zechcesz zasnąć w tym miejscu, choćby to niekoniecznie nawet było w nocy, ale ja muszę się wygadać.

Owóż było to w sierpniu 1875 r.; około 20 osób, licząc przewodników, wybrało nas się na Gerlach. Jak dziś zeszlśmy wieczorem z Polskiego Grzebienia, tylko, że było zupełnie ciemno, wskutek czego pan Br. D. poślizgnąwszy się, wybił sobie „godną” dziurę w łokciu, a przeto został wysortowanym nazajutrz z liczby idących na szczyt i musiał się pocieszać kąpielą w Szmeksie<sup>18</sup>. Noc była chłodna. Tym razem miałem z sobą namiot i choć także spać nie mogłem z wieczora, ale wypoczywałem dość wygodnie wraz z czterema towarzyszami, więcej bowiem namiot nie mógł objąć. Z górali tylko Maciej Sieczka, chroniąc się przed wiatrem, wsunął się nadetatowo w kącik namiotu, tak, że mu na zewnątrz tylko nogi wystawały, rozumie się, do góry piętami. Maciej Sieczka, znany przewodnik, całe owe lato nie był w Zakopanem, zajęty w kopalniach kamienia młyńskiego, który sam odkrył w Tatrach. Spotkawszy go idącego na trzydniowy urlop do domu, zaprosiłem na wyprawę. Przytaczam te szczegóły dlatego, że o obecności jego nikt z nieidących razem z nami wiedzieć nie mógł.

Tymczasem dwaj moi nieodstępni przewodnicy Szymek Tatar i Wojciech Raj, którzy i dziś dobrze się wysypiają w schronisku, wówczas będąc z kim innym na wycieczce, nie zdążyli wrócić do Zakopanego. Dałem im tylko znać raniutko przy Morskim Oku, gdzie właśnie nocowali, że ruszamy na Gerlach. Pobudziwszy oni więc swoich „gości” wcześniej, niżby ci sobie życzyli, przeprowadzają ich przez dolinę Pięciu Stawów i Zawrat do Czarnego Stawu, a około czwartej po południu wracają się znów przez dolinę Pięciu Stawów i przez Polski Grzebień i około jedenastej w nocy dopędzają nas na noclegu w Wielkiej Dolinie. Nawiasem mówiąc, zrobili ten kurs o głodzie, ich zapasy bowiem były wyczerpane. Tu i ówdzie tylko nie zwalniając kroku, udało się któremu „osmyknąć” garść borówek, obficie wszędy w Tatrach rosnących. Ognisko przygasło, wszystko w głębokiej pograżone ciszy. Kto może, śpi, kto nie, to choć udaje. Naraz słyszę lekkie kroki. Zatrzymują się przy namiocie i dolatuje mnie cichy szept:

— Patrzaj no Wojtek, a toć to pięty Maćkowe.

— A hej — odrzeknie tamten.

Parsknąłem śmiechem i wysunąłem się po cichu do nich z namiotu.

<sup>17</sup>w wilię — w przeddzień. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Szmeks — (Schmeks, Smeukek, Šmeks) Smokowiec, w roku 1875 przemianowany na Stary Smokowiec, obecnie część miasta Wysokie Tatry. [przypis redakcyjny]



— Jakimże u Boga sposobem mogłeś, Szymku, poznać Maćka po piętach, kiedyś go się tu nie spodziewał?

— A dy to przecie jego szwagier — rzeknie Wojtek.

Ot, tobie i argument, myślę sobie. Znam ja też przecie także blisko ćwierć wieku te Maćkowe nogi, które nie tylko po mistrzowsku chodzą po górach, ale którymi gdy Maciej — choć dziś już tylko z powagą — tańczy, to rzeczywiście robi wrażenie, że wcale nie tyka ziemi. Z tym wszystkim, gdy w ogóle góralskie nogi są zręczne i małe, nie tylko w nocy, ale i w jasne południe nie podjąłbym się rozróżnić Maćkowej pięty. Prawda, że nie jestem jego szwagrem. Ta uwaga usprawiedliwiła nieco we własnych oczach brak bystrości obserwacji, co dla przyrodnika nie jest bardzo pochlebne.

\*

Ale powrócimy do naszej dzisiejszej wycieczki. Wstałem o świcie. Muszę nawet pochwalić się, że się sprawiłem po cichu, by nie przerwać bez potrzeby snu mego towarzysza, aż zbadanie stanu pogody pozwoli zrobić jakiś projekt na dzień dzisiejszy. Jeśli szczyty będą zamglone, możemy tu sobie siedzieć w Wielkiej Dolinie i dłużyć granaty, które, jak wiadomo, bywają tu i bardzo piękne. Dynamitu wprawdzie z sobą nie mamy, ale dziecięciu Zakopian z ciupagami mogłoby dobry kawał skały na dzień rozkruszyć. A i młotek mamy po temu. W razie wielkiej niepogody za dwie godziny najdalej jesteśmy w Szmek-sie. A jeśli pogoda posłuży, a no, zobaczymy, Jakoś czuję, że mógłbym trochę lepiej chodzić niż wczoraj. Zobaczymy więc. Otóż masz? Aneroid<sup>19</sup> po północy spadł jeszcze na milimetr. Wyjrzyjmy na świat. Na dolinach jakoś pogodnie, a i szczyty czyste. Tylko przez Polski Grzebień wiatr północny wygania jakieś niemiłe chmury i huczy, roztrącając się o krawędzie.

Tak samo huczy w Zakopanem „halny”, ciepły wiatr, przypominając ryk oceanu. Rozumiem, dlaczego wtedy wszystkie strumienie grają *fortissimo*<sup>20</sup>. Zdaje mi się też naturalne, że ten na przykład północny wiatr, przedzierający się przez grzbiety blisko dwa tysiące stóp nade mną sterczące, spada w dolinę i ostrym zimnem przejmuje. Ale przyznaję się najotwarciej, że nie rozumiem, dlaczego w Zakopanem wśród jesiennych chłódów, a nawet i w zimie, południowy ciepły wiatr spada także w dolinę i to z taką gwałtownością, że biada zbożu, dachom, a nawet ludziom i zwierzętom.

Półgodzinna obserwacja, nie bez podszeptów jakiegoś niby przeczucia, a może tylko skrytej ochoty, doprowadza mnie do wniosku, że można by spróbować Gerlachu. Aneroid ma dla mnie zwykle głos doradczy. Zresztą zamglą się szczyty, poprzestaniemy na odwiedzeniu dobrze już wprawdzie znanej „kotliny”. Pan Stanisław zbiera tatrzańskie trawy, ja tam także coś zbieram. Są to, że tak powiem, pobudki legalizujące w imieniu niby to nauki każdą wyprawę na wirchy. A nuż się uda piękna pogoda. Tak nam się życzliwie wczoraj Gerlach uśmiecha!

Budzą się po trochu wyspani w cieplej izbie górale. Budzi się i pan Stanisław. Propozycję moją uznają za rozsądną. O wschodzie słońca już jesteśmy z drugiej strony stawu na grani spadającej ku południowemu wschodowi. Idziemy niesłychanie powoli, nieomylny to środek znalezienia wieczorem „drugiej pary nóg”, jak się moi górale wyrażają. Dosięgamy granic kosodrzewiny i niebawem jesteśmy „w kotlinie”.

Jeśliś ciekawy budowy tatrzańskich gór, szanowny czytelniku, to znasz już tę kotlinę z wybornego opisu wycieczki księdza Stolarczyka<sup>21</sup>, ze wspomnień Walerego Eljasza<sup>22</sup>. Wiele interesujących szczegółów znajdziesz także w opisie pana Dezso<sup>23</sup>.

Trafnie ksiądz Stolarczyk porównywał kształt Gerlachu do podkowy obróconej środkiem do północy, a której bardzo wydłużone ramiona zbiegając ku południowi tworzą między sobą zagłębienie. Środek, w którym łączą się ramiona podkowy, złożony z głównej kolosalnej masy granitu, najeżony jest licznymi turniami. Ramiona, również mnóstwem

<sup>19</sup> *aneroid* (daw.) — barometr. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *fortissimo* (wł.) — bardzo głośno. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> opis wycieczki księdza Stolarczyka — „Czas” z roku 1875, 14–16 października. [przypis autorski]

<sup>22</sup> ze wspomnień Walerego Eljasza — „Kłosa”, 1876 r. [przypis autorski]

<sup>23</sup> w opisie pana Dezso — „Jahrbuch des Ungansehen Karpatenverones”, 1876 r. [przypis autorski]

oderwanych od niego szczytów zakończone, biegną coraz niżej aż do granic kosodrzewiny i tu już prawie są zaokrąglone.

Dodać należy, że końce ramion łączy z sobą przełączowaty wał, tak, iż zagłębienie owo istotnie jest kotliną. Stąd nazwa słowacka „na kotlu”. Góra należy do wsi Garluchowa, który dziś przerobiono na Gerlsdorf. Stąd Gerlsdorfer Spitze lub Gerlach, a właściwie Garluchowska Góra i Szczyt.

Kotlina zasłana jest głazami po większej części wielkimi i mocno pomiędzy sobą osadzonymi. Z małymi też wyjątkami tu i ówdzie sterczących głazów, cała jej powierzchnia jest dość równa, z lekka ku głównym szczytom podniesiona. Ponad nią w głębi, ku głównej masie góry, wznosi się wyniosły próg z jednolitej skały, jak we wszystkich prawie tatrzańskich dolinach. Po tej skale spływa niezbyt obfita woda, która jednak zaraz niknie pod głazami i tylko gdzieśgdzie wzdłuż kotliny usłyszysz szmer strumienia, w wielkiej głębi przedzierającego się wśród kamieni.

Powyżej progu obszerny, z samych już prawie nagich, litych skał utworzony amfiteatr; na lewo śnieg wieczysty, przy którym bardzo często dojrzysz kozice. Jeszcze głębiej skała nagle wznosi się pionowo i jak wspomnieliśmy w coraz wyższe, liczne, rozszczepia się turnie. Pomiędzy tymi mnogie galerie i zachody, istny labirynt. Z opisu pana Dezso widno<sup>24</sup>, że przewodnicy spisy prowadzą turystów od Wielkiej Doliny ponad „kotliną”, zachodnim grzbietem. Według mnie, najmniej utrudniającym jest przejść samą kotlinę po prawej stronie; doszedłszy zaś pod ów próg skalisty, po którym ścieka woda, wziąć<sup>25</sup> się zupełnie w górę na lewo, aż do wysokości owych zachodów pomiędzy najniższymi turniami środka góry. Tu już Zakopianie znają dobrze, jak wybrać lepszą drogę. Pierwszy raz przechodziliśmy równie jak i ksiądz Stolarczyk po owych „garbach” charakterystycznie opisanych i naszkicowanych przez W. Eljasza, Dziś omijamy to twarde i rzeczywiście niebezpieczne miejsce, kierując się dość długo na północny wschód, dopóki znów skręcając więcej ku zachodowi, nie zaczniemy się piąć na ramię jednego z najwyższych szczytów. Stąd spuszcza się ku żlebowi biegnącemu spod głównego szczytu w dolinę Batyżowiecką i utrudzającą, ale wcale już nie „karkołomną” drogą, wychodzimy na główny szczyt.

Zadna z gór nie robi tak ponurego wrażenia jak Gerlach. Składa się na to i kształt jego, i rozległość, i jakby potęgująca się z powodu rozlicznych jego szczytów dzikość i martwość. Nawet barwa jego skał smutniejsza jest niż gdzie indziej; smutniejsza, bo prawie czarna. Wspinając się na jego niegościnnie wierzchołki, tak wiele wrażeń, tak wiele przedmiotów zajmuje uwagę, że szczerze wyznać muszę, nie umiem sobie zdać sprawy, czemu przypisać należy ten żalobny charakter. Wprawdzie niektóre inne góry np. Wysoka, posiadają go także, ale tylko przy pewnym oświetleniu, lecz kształt Wysokiej sprawia, że wrażenie ogólne daleko mniej jest ponure. Czy sama skała bardziej jest poczerniała w Gerlachu niż w innych wierzchach; czy w większej ilości pokrywa ją czerniejący (zwłaszcza ku jesieni) porost, czy cienie rzucane przez liczne jego turnie z jednych na drugie, czy wszystkie te okoliczności razem wzięte, dość że tak jest w istocie. Tylko spód pojedynczych turni, owe galerie i zakręty pomiędzy nimi, są jakoś dziwnie jaśniejsze, prawie białawe, co w gruncie rzeczy nie łagodzi ogólnej żaloby, ale ją prawie podnosi. Wielka część szczytów i krawędzi utworzona jest z oddzielnych częstokroć wysoko wybiegających, ogromnych słupów granitu, które jakkolwiek są czworograniaste, z daleka jednak robią wrażenie jakby cała góra składała się z bazaltu. Pośpny charakter Garluchowskiego Szczytu wpływa mimo woli na wszystkich. Nie widziałem, aby kiedy najweselszy i najzwawszy góral zatańczył sobie na nim, jak się to przecież i na Lodowym i na Łomnicy, i szczególnie na Krywaniu praktykowało. Nawet mój „adiunkt” Józek, szesnastoletnie, żwawe chłopię, któremu nigdy najtrudniejsze i najuciążliwsze kilkudniowe wycieczki nie odbierają chęci wyciąć „góralskiego”, jakiś tu poważnie nastrojony. Sumiennie za to bierze się do odszukania między głazami szklanego słoika mieszczącego mnóstwo biletów z nazwiskami zwiedzających. Znajdujemy nasze bilety dawniejsze, znajdujemy bilety wielu innych taterników różnych narodowości. Przed paru laty znaleźliśmy tu pocieszny bilet pana Still, nauczyciela szkółki elementarnej z Nowoleśnej (Neu-Walddorf) na Spiszu, znanego strzelca i taternika, który przed niewielu latu uchodził za jedynego przewodnika

<sup>24</sup>widno — wiadomo. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>wziąć — wspiąć. [przypis edytorski]

na Gerlach i był istotnie pierwszym z Węgrów, który znalazł drogę na najwyższy szczyt tej góry.

Na trzeci dzień później, siedząc w dość licznym gronie na szczycie Łomnicy, widziemy trzech podróżników podążających ku nam, dwóch młodych idących mniej wprawnie i trzeciego starszego, ale którego ruchy zdradzają krzepkiego i wprawnego taternika. Był to ów pan Still. Lat około siedemdziesięciu, szczupły, zwiędły, lecz zwinny, zręczny i wesoły. Mówił nam, że to było dziewięćdziesiąte i któreś jego wejście na Łomnicę.

W rozmowie ktoś zrobił wzmiankę o Gerlachu:

— Alboż panowie znacie Gerlach — zapytał.

— Byliśmy tam onegdaj — odrzekłem.

— Aj, aj, to być nie może.

— Dlaczegoż nie?

— To tak chyba na którym z niższych szczytów.

— Nie, na najwyższym.

— Nie może być w żaden sposób.

— A jednakże byliśmy tam i znaleźliśmy bilet z waszym nazwiskiem, któryście na parę dni wprzód<sup>26</sup> zostawili i na którym jest napisane: „Johan Still in persona das heisst in meiner eigenen Person...”<sup>27</sup> dalej szła data i nazwisko osób, z którymiście przyszli.

— A no to widzę, że naprawdę byliście tam panowie; ale któż u Boga pokazał wam drogę?

— A te oto zakopiańskie zuchy — rzekłem, wskazując Wojciecha Raja i jego towarzyszy. Znajdują oni drogę wszędzie.

— *Sapristi!*<sup>28</sup> — rzecze kiwając głową Still, który się widocznie uważał „in persona” za monopolistę Gerlach, a tu naraz spotyka cały tuzin konkurentów. Dziś na Gerlachu ciepło, jasno, spokojnie, ale jednak niewesoło, toteż, łaskawy Czytelniku, nie będę Cię tu trzymał długo, chociaż, jeśli Cię kiedy zdejmie ochota, a nogi dopiszą, to ręczę Ci, że niechętnie szczyt ten opuścisz, naglony przypomnieniem, że już czas, bo droga z powrotem daleko i niełatwa. Powszechnie jest uznane, że widok stąd nie jest tak wdzięczny i miły, jak z wielu innych mniej wyniosłych szczytów. Ale niemniej przeto jest zajmujący. Jako z najwyższego punktu Tatr (8414 stóp) i to pośrodku najpotężniejszych mas granitowych obszarów, najłatwiej się stąd zorientować co do położenia i stosunku łańcuchów i wirchów. Szczególniej zając Cię musi widok grzbietów ku północnemu wschodowi. Pod stopami karlejący grzbiet Polskiego Grzebienia; rozszczępiony łańcuch ku Sławkowskiemu Szczytowi na prawo, a więcej ku północy łańcuch przez Jaworowe Sady do grupy Lodowego i znów na prawo, do Dumnej Góry, Łomnicy i Kezmarskiego Szczytu. Zwróć się na lewo ku zachodowi, co za przerażający majestat tych dzikich, poszarpanych grzbietów przez Żelazne Wrota ku Wysokiej. Spoglądając na wypełnione głazami doliny, na owe w części już z ziemią zrównane upłazy<sup>29</sup>, w części zaś nowymi rumowiskami pokryte ostepy, przekonujesz się w jednej chwili, że te rozległe grzbiety i łańcuchy, dziś jeszcze wyniosłymi najeżone turniami, musiały przed wiekami przenosić<sup>30</sup> wysokością najwznioślejsze dzisiejsze szczyty, że niegdyś wraz z nimi daleko wyżej ku niebu sięgały. Dopełniwszy różnych poszukiwań, zanotowawszy stan aneroиду, wybierawszy co się wynaleźć dało z roślinności lub charakterystycznych skał naokoło samego szczytu, zabieramy się do odwrotu, a szkoda, bo miałbym ci jeszcze co opowiadać, Czytelniku, o tej skalistej pustyni. Nie mogę jednak nie wspomnieć o jednym gościu, który się tu znalazł, nie dziś wprawdzie, lecz przed paru laty, gdyśmy także kilka godzin tu siedzieli. Był to biały motyl, który korzystając z ciepła i pogody, w oczach naszych z kotliny wznosił się aż po najwyższe szczyty góry. Co go też mogło skłonić do tej fantastycznej wycieczki? Nie kwiaty go tu ściąć mogły. Zgodziliśmy się z góralami, że to już taka natura taternika i taki wpływ cudnych naszych Tatr. Jeśli kiedy, szanowny Czytelniku, będziesz na szczycie Gerlach, spojrzij z samego wierzchołka, a lepiej jeszcze o kilka stóp pod wierzchołkiem, na ostat-

<sup>26</sup>wprzód — wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>in persona das heisst in meiner eigenen Person... (niem.) — osobiście, to znaczy w mojej własnej osobie. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>sapristi! (fr. przestarz.) — coś podobnego! [przypis edytorski]

<sup>29</sup>upłazy — spłaszczenie w obrębie skalnej ściany lub stoku. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>przenosić — przewyższać. [przypis edytorski]

nie jego turnie panujące bezpośrednio nad grzbietem Żelaznych Wrót. Wierzchołki tych turni tworzą cudowne kształty gotyckiej świątyni o kilku wieżach i wieżyczkach.

Złudzenie jest tak wielkie, że doprawdy można by prawie zdjąć plan tej budowy. O ile wiem, nikt ze zwiedzających Szczyt Gerluchowski nie zwrócił dotąd na to uwagi. No, czas już wielki schodzić, ale czyż mamy schodzić tą samą drogą? Od razu wszyscy zgadzamy się, że warto by przecież poszukać nowej. Czyby nie spróbować jednego z dwóch kolosalnej długości żlebów, prowadzących do Batyżowieckiej Doliny? Jeden z nich dosięga istotnie samego wierzchołka Gerlachu i zaprasza prawie do takiej próby, jest bowiem u góry bardzo położysty<sup>31</sup>. Ale kto zna Tatry, wie, że temu ufać nie można. Jakimś instynktem wspólnym nikt z nas nie zaproponował nawet tej drogi. Drugi żleb także pod wierzchołek prowadzi. To właśnie ten sam, do którego po licznych zakrętach i znizeniu się<sup>32</sup> z jednego z najwyższych szczytów, dochodzi się z kotliny przed samym wejściem na główny wierzchołek. Od dawna przepatrzyliśmy, że w prostej linii bieży<sup>33</sup> on w Dolinę Batyżowiecką, ale czy „puści dołu” (na dół), czy nie kończy się jaką prostopadłą ścianą? Wystaw sobie Czytelniku, że rozrzucono olbrzymiej wysokości komin, ale w taki sposób, że dwie ściany przyległe zupełnie odjęto. Dwie pozostałe utworzą jakby rynnę pochyloną w kierunku spadzistości góry. Widocznie przez całą wysokość góry, wielkie bloki granitu oddzielały się w jednej linii. Ściany tego rozległego komina, czy jeśli wolisz, tej rynny dość są chropawe, lub mają występy pozwalające tak dobrze<sup>34</sup> piąć się do góry, jak i zstępować. A więc próbujmy. W najgorszym razie, jeśli u dołu zejścia nie ma, trzeba będzie z tysiąc stóp wrócić do góry i przedzierać się do turni okalających kotlinę od zachodu. Schodzimy niepewni przyszłości. Bardzo często dłońmi oparci o skałę, spuszcza się lub zeskakujemy na zbyt nisko pod nogami wystające nierówności. Przy pewnej wprawie nie nazywa się to złą drogą. Po godzinnej pracy otucha w nas wstępuje. Droga prawie coraz lepsza. Jeszcze pół godziny i jesteśmy nad doliną w najwyższym jej punkcie, a raczej tuż pod najwyższym jej progiem. Już widzimy śnieg wieczysty, zaścielający tuż pod nami stopy Gerlachu. Fakt ten jednakże nie uspakaja nas jeszcze. Owszem, to tu właśnie leży owa zagadka „czy puści dołu?” Istotnie, sam żleb ku dolinie okazuje się niemożliwy do zejścia. Spadki prawie pionowe. Wojtek Raj i Szymek Tatar idą przodem przepatrzyć drogę. My odpoczywamy tymczasem. Jest to zwykły regulamin. Wojtek spostrzega naprzód jeden, potem niżej drugi kij wetknięty w szczeliny skały. Widocznie strzelcy z doliny wychodzą tędy na boczne turnie Gerlachu. Nadzieje nasze zamieniają się w pewność. Żlebem dalej nie zejdzie, a więc zejdzie granią. Ale którą? Na jednej z nich w tej chwili żleb oddziela nas od niej. Wojtek spostrzega ładną laskę nie uronioną<sup>35</sup> przypadkiem, ale postawioną ostrożnie w jakimś załomie skały. Snadź zawadzała idącemu. Józek ma niepohamowaną chętkę iść po nią. Ale w tej chwili Wojciech Raj bystrym okiem dostrzega, że lepiej będzie zejść granią, na której stoimy. „Nie baw się Józek, nie baw się” — woła na syna. Zapomniałem Ci powiedzieć, szanowny Czytelniku, że Józek jest rodzonym i pierworodnym synem Wojciecha, a z dziadka i pradiadka taternikiem. Wielce on żałuje, że nie ma czasu spróbować karkołomnej wyprawy na drugą stronę żlebu i sądzę, że ta laska jeszcze mu się kiedy przyśnić gotowa. Po dwóch godzinach całkowitego i niezbyt pośpiesznego pochodu, gdyż po drodze i zbieramy rośliny, i rozglądamy się po turniach, stajemy nareszcie w dolinie tuż pod najwyższym jej progiem. Stąd już nie widzi się wcale najwyższego piętra, a że, jak wspomniałem, pod samym progiem stoi wielka zaokrąglonych konturów turnia (właściwy Szczyt Batyżowiecki), przeto przechodzący z dołu mogą mieć złudzenie, że owa turnia kończy dolinę i należy już do Żelaznych Wrót. Tymczasem za nią jest jeszcze obszerna przestrzeń wypełniona głazami, a za nią dopiero wschodnia część łańcucha Żelaznych Wrót. Dolina Batyżowiecka w górnej swej części przewyższa dzikością, ale zarazem majestatycznością swoją, inne tatrzańskie doliny. Od zachodu zamknięta jest Kończystą, która od tej strony wygląda jak kolosalny portyk gotyckiej świątyni. Niezliczone ostre turnie wybiegają prostopadle ku niebu, a całość ich stanowi piramidę o bardzo szerokiej podstawie. Barwa całej góry jest perłowszara, z licz-

<sup>31</sup>położysty — niezbyt stromy. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>znizeniu się — zejściu. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>bieży — prowadzi. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>tak dobrze — równie dobrze. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>uronioną — zagubioną. [przypis edytorski]

nymi pod same szczyty sięgającymi bladezielonymi smugami. Na prawo od Kończystej, spoza Żelaznych Wrót wznosi się ciemny, niebotyczny szczyt Wysokiej w postaci także piramidy, ale o bardzo wąskiej podstawie. To przeciwieństwo barw i konturów nadaje dolinie szczególny wygląd i urok. Urok ten podnosi się<sup>36</sup> do niesłychanego efektu, jeśli w dolinę spoglądamy pomiędzy godziną drugą a czwartą po południu, z Gerlachu przez wąskie okno przypadkiem z czworogrannych słupów utworzone. Znajduje się ono w zachodnim ramieniu podkowy, ale już w bliskości środkowej masy szczytów (patrz opis księdza Stolarczyka). Godzina popołudniowa dlatego jest najpożądana, że wtedy słońce będąc jeszcze bardzo wysoko, jest już poza Kończystą. Nie ma więc w dolinie promieni prostych, ale za to dostateczna ilość złamanych i odbitych. Daje to tak cudny efekt światłocienia, że owa perłowozielona barwa Kończystej zdaje się być w ciągłym ruchu. Jednocześnie, Wysoka wygląda zupełnie czarno. Dodawszy do tego kamieniste, zupełnie puste łóżce doliny i tylko mały skrawek stawu, który czerwoną barwą świeci na lewo od Kończystej, łatwo sobie przedstawić, że widok ten jest najoryginalniejszy, nie tylko w Tatrach, ale w jakich bądź innych górach.

Mniej nadzwyczajny, ale jednak oryginalny i zdumiewający widok czeka cię na prawo ku Gerlachowi. Z żadnego punktu w Tatrach nie wygląda on tak wspaniale, a obok tego, rzecz można, tak prawdziwie. Prawdziwie, bo naprzód widzisz, że główne najwyższe szczyty są trzy, po wtóre, że szczyt najwyższy wraz ze swymi dwoma towarzyszami nie leży wprost nad kotliną, ale właściwie ponad zachodnim ramieniem „podkowy”, czyli, że owe trzy szczyty panują jednocześnie nad kotliną i nad doliną Batyżowiecką. Stąd wynika, że Gerlach wraz z Kończystą i wschodnią częścią Żelaznych Wrót stanowi dopiero symetryczną jedność, tj. górę o trzech ramionach, z których środkowy jest owym zachodnim ramieniem kotliny. Wspanialej zaś niż skądinąd<sup>37</sup> dlatego wydaje się stąd Gerlach, że widzisz nie same szczyty sterczące, na przykład, nad Polskim Grzebieniem lub Żelaznymi Wrótami, ale że one zstępują w samą dolinę nieprzerwanie i przeto w tej oddali kształty ich nabywają smukłości i wyniosłości, której z innych punktów nie mają. Jak igły wystrzelają one tu w górę. Idąc wzdłuż Doliny Batyżowieckiej ku stawowi, najlepiej też występują wszystkie inne turnie środkowej masy Gerlacha, a jest ich bardzo wiele. Wystaw sobie Czytelniku ostrokończysty wzgórek zarosły niezbyt gęsto świerkami, a będziesz miał drobniawy obrazek tych Gerlachowych turni.

Im niżej schodzimy w dolinę, choć zawsze jeszcze po nagich głazach, tym weselej usposobiona jest nasza gromadka, z każdym krokiem spokojniejsza o nocleg w warunkach rozsądnych, to jest w krainie już kosodrzewiny. Bądź co bądź, nocleg bez watry (zn. ogniska) jest rzeczą mniej przyjemną. Zanim zejdziemy tak nisko, że ramię kotliny zasłoni nam wszystkie piękności Gerlachu, rzućmy jeszcze raz okiem na niego. Droga nasza, ów żleb „wygodny” wydaje się prostą choć pochyloną rysą na jego olbrzymim ciele. Równoległe od tej rysy ale powyżej, spostrzegamy ów drugi żleb, który nas tak zdradziecko zapraszał do siebie i który na sam szczyt wybiega. Po drodze wystudiowaliśmy go z wielu punktów. Aby dać o nim wyobrażenie, muszę znów powrócić do mego trywialnego porównania. Żleb ten znów jest jakby rozwalonym kominem, ale któremu jedną tylko odjęto ścianę. Cały jest pochyloną otchłanią, tu i ówdzie zatkaną olbrzymim odłamek skały. O zejściu tamtędy ani mowy. Tak przynajmniej wygląda z daleka. Nie możemy się oderwać od widoku Gerlacha. Jest on tu równie wspaniały jak piękny, czego doprawdy z żadnego prawie innego punktu powiedzieć o nim nie można. Zawsze był tylko straszny i ponury. Jednego wszakże z nas nie wzruszają te zachwycające kontury. Wojtek Raj, który bez kłębka i nici wprowadza nas i wyprowadza z tego labiryntu, ob staje przy swoim, że to „brzydka i straszna góra” i daje jej przydomek, którym nie chcę ci psuć dobrego wrażenia, jeśliś je, miły Czytelniku, z mego opisu był w stanie uzyskać.

Jesteśmy już przy drugim progu doliny. Spod prostopadłej skały tryska dosyć obfity strumień żywiony owymi wieczystymi śniegami w górze, lecz przebywający wyższe tarasy pod głazami, pierwotnym łóżykiem doliny. Znajdujemy tu z Józkiem w wielkiej obfitości rzadki bardzo mech, który wszędzie indziej zaledwie w drobnych ilościach spotkać można. Skutkiem tego humor nasz podnosi się jeszcze, a to znów odbija się jak echem

<sup>36</sup>podnosi się — urasta. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>skądinąd — tu: z innego miejsca. [przypis edytorski]

na całym gronie. Odtąd idziemy „herbikiem”. Jest to niby grobla dość wyniosła, zieloną trawą pokryta. Bieży środkiem doliny w zupełnie prostej linii aż do stawu. Najbardziej wątpiący umysł musi rozpoznać w tej grobli „środkową morenę” przedwiekowego lodowca.

Słońce ma się ku zachodowi i jakieś połamane promienie uderzają o zwierciadło stawu. Po ogromnych nadbrzeżnych głazach przechodzi poważnie stado kóz dzikich. Smagle ich kontury, w czarnych sylwetkowych obrazach rzucone są na jasny jeszcze horyzont. Przywódca stada, ogromny kozioł, wspaniale pozuje na jakiejś płaskiej skale. Biedne płochliwe mieszkanki gór, spieszcie zaspokoić wasze pragnienie, bo która z was się opóźni, musi długo potem czekać. Józek dłużej nie wytrzyma. Przerażliwe „hi haa” spłoszy was i każe szukać spokoju między turniami. Przepyszny widok stawu przy tym oświetleniu. Spokojne, w poczerniałe głązy oprawne zwierciadło wody odbija ciepły koloryt nieba, zaslanego tu i ówdzie lekkimi ognistymi smugami.

Ale trzeba nam się spieszyć. Zniżamy się jeszcze o jedno piętro, z którego proggu liczne już szumią wodospady. Jesteśmy w kosówce. Po lewym brzegu doliny schodzimy na suchą, ze wszystkich stron krzakami otoczoną maleńką równinę. Razem z nami schodzą górale pozostawieni w „kotlinie” z pakunkami. W ciągu kilku minut staje namiot, ogień wesoło strzela dokoła i — „herba” (herbata) gotowa.

Jest to wielce przyjemna chwila w czasie wycieczki, rozumie się, jeśli służy pogoda. I jakże mogłoby być inaczej. Nogi, wywiązawszy się przez ciąg jakich 12 lub 15 godzin z położonego w nich zaufania, w skromnym uczuciu zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, wyszukują sobie najwygodniejsze położenie. Pierś nie potrzebując już pracować jak machina parowa, swobodnie wdycha czyste, cudne, tatrzańskie powietrze, ożywione po skwarzym dniu łagodnym tchnieniem wieczoru. Brzuch, zauważywszy nie bez upokorzenia i przykrości, że w ciągu dnia był zaledwie tolerowanym, że niejeden z turystów rad by go może idąc na szczyty zostawić wraz z innymi pakunkami u spodu góry, teraz w prawowitym poczuciu pokrzywdzenia, zrazu z dyskrecją, a wkrótce z natarczywością przypomina, że i jemu przecież coś się należy. Mózg wreszcie, dla którego przyjemności głównie przedsięwzięto wyprawę, rad, że nie potrzebuje już rozciągać ścisłej kontroli nad powierzonymi jego pieczy członkami, rad, że nogi, ręce, żebra itd. w całości mniej więcej doprowadził do noclegu, zaczyna teraz rozbierać<sup>38</sup> doznane wrażenia. Jedne z nich nieprzyjemne, niedbale rzuca do jakiejś dziurawej szufladki, oczywiście dlatego, by je co najrychlej uronić. Drugie, przyjemne, troskliwie do najlepszej chowa skrytki, by ci je na każde zawołanie w pełnym wdzięku i świeżości pokazać. Ileż to razy wśród ponurych lub ciężkich chwil życia, błysnie ci obraz tak uroczych wspomnień, że same te wspomnienia orzeźwią cię i pokrzepią!

— A to byście co zjedli — rzecze Wojtek Raj, przerywając moje pseudopsychologiczne dumania. I daje do wyboru bigos, gorącą kaszę. A w ślad za nim Wojtek Ślimak godzi na mnie z odgrzany na drewnianym rożenku kurczęciem. Nie bronilem się dzisiaj, jadłem bigos i kaszę. Dopuściłem się nawet paru kawałków kurczęcia, ku wielkiej radości moich poczciwych Wojtków.

Ciemność już zupełna i wokoło najuroczystsza cisza. Jaskrawo odbija od tego gwar wesołej gromadki górali i jaskrawiej jeszcze bujny płomień, podsycany obficie kosówką. Wsuwam się do połowy w otwarty namiot, aby zyskać ramy do tego zawsze powtarzającego się, a zawsze świeżego obrazka. Górale pokończyli wszystkie przygotowania do noclegu, posilają się skromną strawą i obsiadają ognisko. Czy spojrzysz na siedzących z tamtej strony ognia, na te wyraziste, inteligentne rysy, uwydatnione obok głębokich cieniów jasnym czerwonym odbłaskiem płomienia; czy na czarne sylwetkowe postacie siedzących po tej stronie, każde z tych swobodnych dzieci gór stanowi nieoceniony model dla artysty. Sabala na jakimś trochę wyżej podniesionym głazie panuje nad gromadką. Że też on zawsze musi obracć jakiś punkt, jakąś przybrać podstawę<sup>39</sup>, co go od drugich wyróżnia. Już wydobył „geśliki” dostrają je i oto już brzmi butna a zarazem taka rzewna nuta „Kościeliskiej” pieśni. Naturalnie Józek już się porwał do tańca, jakby poczuł gwałtowną potrzebę rozruszać sobie trochę nogi. Grajek spogląda na chłopca z uśmiechem, porusza

<sup>38</sup>rozbierać — tu: analizować. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>podstawę — tu: postawę. [przypis edytorski]



jedną nogą do taktu, to już jest u niego nieodzownym i przechodzi w „drobnego”. Lecz wkrótce uśmiech ten przybiera wyraz smutny, prawie bolesny. Jasiak patrzy przed siebie, ale już nie widzi swego otoczenia, już myślą nie jest z nami, on patrzy w przyszłość. I to się za każdym prawie razem powtarza, gdy grać zacznie. Z motywu do motywu przechodzi i już się wtedy nielato z nim dogadać. On wtórzy myślom swoim, gra dla siebie. Ileż razy, gdy towarzysze zajęci są jaką czynnością, on wymyka się niepostrzeżenie, wybiera jakąś samotną urwistą skałę i stanąwszy na niej z nienaśladowaną swobodą i wdziękiem, gra jeszcze rzewniej, jeszcze tęskniej. Poznawszy ten jego obyczaj, staram się zawsze zza jakiegoś krzaka lub głazu napatrzeć się, nasłuchać się tego typu „ostatniego staroświeckiego górala”.

Że Jasiak nie o przeszłości marzy wtedy, świadczy ten uśmiech tęskny i smutny. Kiedy on myśli o przeszłości, to uśmiech jego jest wesoły. Wszakże według własnego świadectwa tego poety filozofa, on „ani jednego dnia w życiu nie był nieszczęśliwy”. Ale przyszłość ta zawsze niepewna. Czy w przyszłym życiu będzie mógł błędzić po swoich ukochanych wirchach? „Bo ja i tam długo na jednym miejscu nie usiedzę” — mówi on o sobie.

Księżyc wszedł równie świetnie jak wczoraj, i wkrótce blask jego złagodził znacznie dziki charakter całego obrazu. Z lekka, jakby nieśmiało zarysowują się kontury odległych szczytów. Rad byś zatrzymać to nowe wrażenie co<sup>40</sup> najdłużej, ale godzina późna. Rozsądek i znużenie radzą wyspać się przede wszystkim.

Ognisko wpoł przygasa, górale jeden po drugim zawijają się w czuchy, kładą obrócenie plecami do „watry” i natychmiast usypiają. Śpią smacznie, a jednak czujnie. Jeśli ogień zbyt przygasa, zawsze się znajdzie który z nich, co go natychmiast drzewem zasili. Sabala i tu zachowuje się oryginalnie. Nie plecom samym porucza regulowanie ciepła, ale ręką jedną na nich opiera i jak przy graniu machinalnie nogą takt znaczy, tak w nocy śpiąc smacznie, odbywa tą ręką powolny miarowy prawie ruch. To otwiera dłoń, to ją zamyka. W kilka minut cały obóz już spoczywa. Tylko Wojtek Raj musi nieodwołalnie jeszcze jednej dopełnić czynności. Zagląda do namiotu, otula nas, obwija w koce i koldry, wypytuje czy jeszcze kto czego nie potrzebuje.

No, dziś noc jest ciepła, nietrudno mu będzie znaleźć miejsce przy ognisku. Inaczej się dzieje, gdy noc zimna i wietrzna. Wtedy Wojtek po skończeniu swej inspekcji znajduje wokół „watry” tak ściśnięty łańcuch swych towarzyszy, że i igły nie zmieścisz. Posiada on jednak w takim razie sposób równie prosty, jak skuteczny. Dorzuca na ogień znaczną ilość kosówki, płomień się wzmaga, gorąco bije silnie naokoło, ręka Sabaly ściąga się i otwiera coraz częściej; wszyscy świadomie czy nieświadomie cofają się od zbytniego żaru, łańcuch się rozrywa i Wojtek zajmuje w nim należne mu miejsce.

\*

Spaliśmy wszyscy wybornie. O świcie wynurzam się z namiotu. Niebo gwiazdziste, na szczytach błyszczą rumiana zorza. Porównuję stan aneroidu z wczorajszym, spadł jeszcze o dwa milimetry. Ale pogoda wyborna, ani jednej chmurki, ani najmniejszego wiatru. Budzą się górale; odbywamy orzeźwiający ablucje w strumieniu.

— No dzieci, co dziś robimy? Wojtek jakby mi w mózgu czytał.

— Eh, wiecie co, bobyśmy szli<sup>41</sup> na Wysoką.

Bez głosowania przyjęto, zwijamy obóz, nawet „herby” nie gotujemy, szkoda czasu, pośniadamy<sup>42</sup> na pierwszym odpoczynku. Odprawiamy jednego górala z depeszą do domu. Przez kotlinę Gerlachu, Polski Grzebień, Roztokę, już o piątej po południu był w Zakopanem.

Przechodzimy ukosem niski już w tym punkcie grzbiet biegnący od Kończystej i znajdujemy się w dolinie leżącej między tąż Kończystą z jednej, a Tępą z drugiej strony. Mamy pokuszenie przejść jeszcze dalej na lewo przez Osterwę nad piękny staw Popradzki. Ale rozważa każe wciągnąć w rachunek pewne niewiadome, wszak dzień krótki. Idziemy suchą dość połągą<sup>43</sup>, zresztą mniej powabną doliną ku szerokiej a wzniosłej przełęczy. Po

<sup>40</sup>co — tu: jak. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>bobyśmy szli — poszlibyśmy. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>pośniadamy — zjemy śniadanie. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>połągą — miejsce pochyłe, o niewielkim spadku. [przypis edytorski]

drodze mamy sposobność przypatrzania się świstakowi, który nie dalej jak o trzydziści kroków przypatruje się nawzajem nam. Rzecz to bardzo rzadka, z tak blisko zająć to zwierzę. Objasniamy sobie jego naiwność chyba tym, że urodzony w tej dolinie zapewne jeszcze nie widział tu ludzi i nigdy nie był spłoszony. Prawie pod samą przełęczą jest trochę wody. Śniadamy<sup>44</sup>. Stąd najłatwiej byłoby wejść na Kończystą. Za ledwie paręset kroków wyżej, dochodząc do przełęczy spostrzegamy jedyny spoza niej wyglądający wysmukły stożkowaty czubek. To Wysoka! Z każdym krokiem dalej czubek ten rośnie i wnet wyrasta w kolosalną piramidę. Znając prawie wszystkie większe szczyty w Tatrach, prawie wszystkie większe doliny i grzbiety, nietrudno przy pewnej wprawie skombinować sobie z jakiegokolwiek nieznanego jeszcze punktu plan drogi i obrać właściwy kierunek. Ostatecznie zostaje tylko jeszcze tu i ówdzie pytanie, czy ten lub ów żleb, ta lub owa grań „puści lub nie puści”. No, zobaczmyż tutaj. Poza ową szeroką i bardzo już połą najwyższą częścią doliny, otwiera się naraz stroma przepaść, a na jej dnie znany nam dawno „Zmarzły Staw” pod Żelaznem i Wrotami. Jednym rzutem oka górale nasi dopatrują się jakiegoś żlebu, który „acz niemiły” ale „puszcza”. W pół godziny jesteśmy przy stawie. Dziś on wcale nie jest zmarzły, ale za to tak mętny jak nigdy żaden staw na tej wyżynie w Tatrach nie bywa. Bierzymy się mocno na lewo, aby się dostać do czerwieniejącej z dala „buli” (turnia o zaokrąglonych i nieco spłaszczonych kształtach), leżącej od południa pod Wysoką. Z prawdziwym żalem rozstajemy się z okolicą Zmarzłego Stawu, bo to sponad niego uśmiecha się nam szczyba Żelaznych Wrót, przez którą dwa razy już przechodziliśmy na północną stronę Tatr do Zielonego Stawu. Oto właśnie przecinamy w poprzek drogę, która tam wiedzie i która z obydwu razy tyle miłych wspomnień w nas budzi. Pierwszy raz było to przed dwoma laty. Szliśmy z „Jegomością” od Popradzkiego, gdzie nocowaliśmy po zejściu z Wysokiej. Było nas przeszło trzydziestu, a w tej liczbie grono wytrawnych taterników, jak ksiądz Sutor, profesor Świórz, państwo Dembowsy i kilku innych.

Śniadając ponad tak zwaną przez górali Pustą Doliną powyżej Zmarzłego Stawu spostrzegam pod nami na wielkich polach śniegu bladoczerwone smugi. Zjawisko to znane w górach skandynawskich pod nazwą krwawego śniegu, zależy od małego mikroskopijnego wodorostu. Są to kulki napelnione purpurowym, silnie światło łamiącym płynem.

Na kilkanaście cali<sup>45</sup> w głąb całe obszary śniegu przejęte są tym tworem.

Żywo też stoi mi w pamięci wrażenie, jakiegośmy wówczas wszyscy doznali, przeszedłszy zwartą kolumną przez ową szczybę Żelaznych Wrót. Z tej strony droga do niej przykra, ale bezpieczna. Stromym kamienistym żlebem dosięgając wąskiego siodelka czyli, właściwie mówiąc, samej szczyby, wchodzi się między wysokie, prawie prostopadłe ściany. Z drugiej strony przepaść, tylko pod samą ścianą północną, na prawo nad urwiskiem usypanym z rodzaju zielonawej glinki, powstałej z rozłożonego granitu, trzyma się przez całe lato przyklejony szmat stwardniałego śniegu. Po tym śniegu, zgięty we dwoje, bo ściana granitowa u spodu tylko jest wyżłobiona, a na górze szorstko wystaje, może przejść człowiek jako tako bezpiecznie, a iść tak trzeba kilkadziesiąt kroków, bo rzadko gdzie można się wyprostować. Potem zwracamy się w lewo na ostrą wąską grań, także zwykle śniegiem pokrytą, lecz po której „już wozem przejeżdżem” według uświęconego wyrażenia przewodników zakopiańskich, co znaczy, że już stąd trudniej kark skrócić, jeśli się mocno na nogach trzymasz. Widok z grani na tę prawdziwie piekielną bramę, zwłaszcza gdy schyleni towarzysze jeden za drugim przez nią przechodzą, jest niesłychanego efektu. Nadzwyczajna ostrość konturów, różnica oświetlenia jednej a drugiej ściany, niewypowiedziana dzikość wokoło, a do tego widok na południe i na północ, na zielone łąki, uprawne pola i wzgórza odległych okolic, nadają obrazowi urok niezwykły nawet w Tatrach, gdzie przecież począwszy od Zawratu o podobny rodzaj widoków na pozór nietrudno. Toteż ulegasz wrażeniu, którego się nigdy nie zapomina. Na wniosek mój, abyśmy w tym miejscu urządzili wypoczynek, bo wszakże tu co dzień się nie chodzi, przystano od razu. Rozsiadliśmy się na grani wśród śniegu i głazów. Przy posiłku Sabała jął prawie powiastki, którymi nas do konwulsyjnego pobudzał śmiechu. „Jegomość”

<sup>44</sup>Śniadamy — jemy śniadanie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>cal — daw. jednostka miary długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

gwałtownie musiał się trzymać za boki, a przy jego olbrzymiej prawie postaci zdawało się, że skała, na której siedział, trzęsie się i gotowa runąć.

Drugi raz przeszliśmy tę samą drogę w roku zeszłym w towarzystwie profesora Aleksandrowicza. Z wycieczki na Krywań zeszliśmy dnia poprzedniego na nocleg do schroniska przy Szczerbskim Jeziorze, a nazajutrz przez Mięguszwiecką Dolinę na Żelazne Wrota. Cała kilkudniowa wycieczka ułożona została wyłącznie dla profesora Aleksandrowicza. Był to poniekąd obchód jubileuszowy; właśnie 25 lat minęło, jakieś z nim razem i z profesorem Jurkiewiczem pierwszy raz zwiedzali Tatry. Chciałem tedy, aby mu, po tylu latach znów przybyłemu, co najwięcej w najkrótszym pokazać czasie. Zaprowadziłem go „po drodze” i na owe czerwone śniegi, aby zjawisko to u nas rzadkie własnymi oczami oglądał. Wchodzimy na Pustą Dolinę, śniegi są ale<sup>46</sup> bielutkie.

Że jednak przed kilku dniami śnieg w Tatrach padał, musiał pokryć warstwy wieczyste. Odgarnęliśmy miękką wierzchnią skorupę i dobraliśmy się do błado purpurowego łoża. Rozpierzchnięci w dolinie, zbieramy się w ścisłą kolumnę, aby przebyć ów żleb kamienisty ku szczybie. Nigdy wprzódy i może już nigdy więcej żleb ten ponury i dziki nie zabrzmiał takim wesołym i hucznym gwarem. Było nas około czterdziestu. Zawsze wesoły, pogodny humor szanownego jubilata, jego wrażliwość na piękności przyrody, tryskający przy każdej sposobności dowcip, wprawiły całe nasze grono w najlepsze usposobienie. W przeciągu ćwierci wieku, jak nie był w Tatrach, profesor Aleksandrowicz przybrał nieco na tuszy, a chociaż twierdził, że poprzedniego już dnia gdzieś tam na Krywaniu, zgubił przodkującą a wydatną część swej cyrkumferencji<sup>47</sup>, jednakże zauważyliśmy, że w miarę coraz bardziej stromej drogi, coraz więcej botanizował, szukając tam nawet roślinności, gdzie już ostatnie jej ślady zginęły. Ponieważ nie było czasu do stracenia, postanowiliśmy prosić go, aby zechciał nam przewodniczyć, aby prowadził kolumnę. Odgadł manewr, ale poddając się z uprzejmością naleganiom, objął przewodztwo i — trzeba być sprawiedliwym — prowadził nas doskonale.

Z westchnieniem mijał zapraszające do spoczynku tu i ówdzie „kanapkowatości”, nie chcąc, aby gdy spocznie, trzydziestu kilku towarzyszy czekało pod nim, wisząc częstokroć więcej na łokciach niż stojąc na śliskiej i niepewnej ścianie. Odwracał się wtedy ku nam i z szczerem, choć czasami nieco kwaskowatym uśmiechem, potrząsając wzniesioną do góry ciupagą „za mną” wołał, jakby do opóźniających się towarzyszy. „Idziemy”, krzykli górale wśród serdecznego śmiechu. Gdyśmy dosięgli szczybiny, szanowny profesor ze łzami zachwytu i wzruszenia powitał uroczy majestat tego miejsca. I nie jego jednego powieki łzą zabłysły.

Z żywym wspomnieniem tych miłych chwil oglądaliśmy się na ową szczybiny, dopóki nam jej nie zasłoniły ponure turnie „Ganku”.

Jeżeli Cię, miły czytelniku, mało zajęły wspomnienia moje z Żelaznych Wrót, to jeszcze mniej bym Cię ubawił opisywaniem drogi, którą teraz oto do owej rdzawo zabarwionej „buli”<sup>48</sup> odbywamy, choćby właśnie dlatego, że jest wcale niezła, bo umiarkowanie stroma. At sobie zwyczajna, tatrzańska droga pod górę, jeśli tylko drogą nazwać się godzi całe morze kamieni i łomów, z których ani na tysięcznym jeszcze noga ludzka nie powstała, choć tam strzelcy i turyści chodzą. We dwie niespełna godziny jak opuściliśmy Staw Zmarzły, jesteśmy już nie tylko na „buli” ale i ponad nią na wysokości blisko 7600. Zostawiamy na tarasie pakunki pod opieką Sabaly i jego muzyki, a sami wchodzimy w żleb wschodnio-południowy, prowadzący wprost na wierzchołek góry. Jest to jeśli nie najprzykrzejszy, to z pewnością najmniej bezpieczny żleb tatrzański. Granit w części zwierzały i śliski, rozkruszony; to znów po bokach wystający wprawdzie w wielkich i niezbyt pochyłych ale za to cienkich taflach, które gdy staniesz na nich, wysuwają się częstokroć spod siebie. Tu też więcej jak gdziekolwiek indziej okazała się niezbędna ściśniona kolumna przy wejściu i zejściu. Gdyśmy szli z „Jegomością” przed dwoma laty, zaledwie ktoś z idących naprzód nastąpił na taki głaz ruchomy, poczuł, że ten wysuwa mu się spod nogi, lekko zeskoczył na bok, ale głaz z wolna wysuwał się dalej. Szczęściem, przewodnik o pół kroku niżej będący zdołał go na chwilę powstrzymać, a drugi i trzeci za nim idący szybko dopomogli i zmienili kierunek upadku. Przy większych odstępach w łańcuchu,

<sup>46</sup>śniegi są ale bielutkie (gw.) — śniegi są bardzo bielutkie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>cyrkumferencja — żartobliwie o obwodzie w pasie osoby tęgiej. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>bula — kopulaste lub okrągławe wzniesienie górskie. [przypis edytorski]

po kilku sekundach już żadna siła ludzka nie byłaby w stanie zatrzymać skały, która by „wymiotła” ze żlebu nieogłędnych śmiałków. W małą godzinę jesteśmy na szczycie. Jasno i ciepło. Gęsto obsiedliśmy kończysty<sup>49</sup> czubek góry. Jeśli Gerlach usposabia posępnie, to Wysoka przeciwnie. Tańczyć wprawdzie nie można, bo nie ma gdzie, ale za to śmiech i gwar wesoly.

Widok stąd równie piękny jak ciekawy i pouczający. Stąd jednocześnie i grupę Gerlachu, i szczególnie Krywania doskonale opatrzysz, nie mówiąc już o zachodnich szczytach. Jeden tylko zarzut można zrobić temu punktowi, to jest, że z niego nie widzisz Wysokiej, bo ona istotnie każdej panoramie tatrzańskiej nadaje szczególny wdzięk wykwiłtymi swoimi kształtami.

O trzeciej po południu schodzimy ze szczytu. Szybko robimy tę samą część drogi, którą obeszlśmy szczyt góry i bierzemy się ku „Wadze” przełęczy, między ramieniem Wysokiej i Rysami. Będziemy tam najdalej w ciągu półtorej godziny. Zanim jednak tam dojdziemy, bierze mnie ochota opowiedzieć Ci, szanowny czytelniku, ustęp z jednej małej, lecz twardej wycieczki. Właściwie sumiennosc turysty skłania mnie do tej gadatliwości, bo oto zszedłszy z Wysokiej tym szkaradnym żlebem, przypominam sobie, że jest w Tatrach jeszcze gorszy i nierównie gorszy. Tylko że tego to już w żaden sposób nie zobaczysz, choćby cię istotnie płocha chęć wzięła szukać przykrych żlebów. Nie znajdziesz przewodnika, który by się zgodził przeprowadzić cię tamtędy. Rzecz się miała tak: przed kilku laty wypadł mi jakiś gwałtowny, botaniczny „interes” do doliny Pięciu Stawów. Wybieram się na parę dni z synem moim; nawiasem mówiąc nie radzę ci z nim chodzić na wycieczki, jeśli nie jesteś wypróbowanym taternikiem pierwszej wody. Ponieważ zwykle nasza droga jest przez Zawrat, przeto pan Alfons S., młody taternik, chcąc użyć porannej przechadzki odprowadza nas na tę przełęcz. Prócz Wojciecha Raję, Tatara i Ślimaka mamy z sobą Józka, naturalnie dużo młodszego niż dzisiaj, a objuczonego jak zwykle „trąbą” (zn. duża, zielona puszka do roślin), deseczkami mieszczącymi obfite zapasy bibuły itd. Ponieważ Józek zaczął dopiero w owym roku zarabiać sam na siebie, nie miał przeto jeszcze swej własnej czuchy ale ojcową. A że ta była na niego srodze długą, więc zarzuciwszy ją na swą dużą torbę, zawiązywał pod szyją rękawami. Rozumie się, że wyglądał jak kopka siana. Dla oszczędności obuwia zwykł chodzić na Zawrat i wszelkie „piarżyste”<sup>50</sup> drogi boso. Pod „Zmarzłym” rozmyślamy się. Przez Zawrat już się tyle razy chodziło, czy by nie można przejść szczelinką między Kozim Wirchem a Granatami? Jakiś tam żlebek świeci w górze śniegiem. Spróbujmy.

— Eh! znam ja ten żlebek — rzecze Szymek — bom tamtędy raz od Pięciu Stawów chodził.

Przy indagacji pokazało się, że przed wielu laty dźwigał tamtędy tęgiego kozła na plecach, a miał dobre powody do obrania tej romantycznej drogi.

— A puści tam?

— No, puści przecie, puścić musi, ale kto to wie, jak tam teraz wygląda. Wdrapaliśmy się po mokrych, śliskim mchem obrosłych progach pod ów śnieg.

Żlebek stromy, śnieg podmyty, ale z pomocą rąk i nieledwie zębów, wyrąbując tu i ówdzie schody w zmarzłym śniegu, dostaliśmy się do szczytyny. Tu naprzód wita nas gwałtowny, mroźny wiatr, że na nogach utrzymać się trudno. Spójrzmy w dół, gdzie schodzić trzeba — prostopadła wąska przepaść, zawalona zatrzymującymi się w załamach i zakrętach kamieniami.

— No, nie słodko coś wygląda!

Szymek i Wojtek Raj spuszczają się naprzód, zsuwając i zwalając w przepaść ogromne zaległości głazów, aby nam potem z góry na głowę nie spadły. Ślimak zostaje przy nas w odwodzie. Józek zostawiony jest własnemu przemysłowi<sup>51</sup>. Utorowano kilkanaście stóp, spuszczamy się w otchłań. Józek na końcu. Nasi przewodnicy oczyszczają drogę niżej, my czekamy. Po kilku minutach znów opuszczamy się trochę niżej.

— Nie puszca! — krzyczą z dołu — niech czekają!

<sup>49</sup>kończysty — spiczasty. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>piarżysty — pelen piargów, ostrokrawędzistych okruchów skalnych. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>zostawiony jest własnemu przemysłowi — zdany sam na siebie. [przypis edytorski]

Tym razem czekamy coś bardzo długo — czekamy zawieszeni na łokciach, wparci między wąziutkie ściany otchłani. Józek, który sobie wyszukał jakiejś innej odnogi żle-  
biku, w żaden sposób nie mógł znaleźć oparcia na nogi. Zrobił więc grymas wyrazisty  
i wydał głos bardzo do jęku zbliżony. Ojciec dosłyszawszy, wychyla się pod nami nad  
jakąś sterczącą „turniczkę”, a spostrzegłszy kłopotliwe położenie chłopca krzyknie:

— Rozszerzaj się Józek — rozszerzaj się!

Pomimo niedogodności położenia, śmiejąc się, nie mogliśmy oczu oderwać od Józka.  
I tak już dosyć szeroki ze swoją torbą i za dużą czuchą, teraz zrobił się literalnie szerszym  
niż dłuższym. Ale przestroga była skuteczna. Powiększywszy rozpartymi rękami i nogami  
tarcie o boki czeluści, powoli zjechał na upatrzony jakiś prozek wystający dobrze pod nim  
ze skalnej ściany i oparł przecie na nim nogę. Wkrótce słyszymy z dołu, że tam „po grani  
już wozem przejedzie”. Wiemy już, co to znaczy. Zsuwamy się kilkanaście stóp, potem  
po gzymsie jakiejś grani „przewijamy” w bok, a potem znów „dołu”. I tak przynajmniej  
sto kilkadziesiąt stóp; potem żleb stał się trochę położniejszy. Na prawo nad nimi ster-  
czą sklepieniem wysunięte nad przepaścią długie bloki spękanych granitów. Pod nami  
mała rumowiskami zawalona dolinka, a raczej zatoka doliny Pięciu Stawów. Oczywiście  
zeszliśmy i to bez przypadku, ale nie życzę nikomu tej na pół napowietrznej podróży.  
Rozumie się, że najlepiej na tym wyszedł pan Alfons, bo musiał po znacznym kołowaniu  
wejść jeszcze na Zawrat od doliny Pięciu Stawów, tak, że mu ta przechadzka z pewnością  
za cztery Zawraty starczyła.

Ale otóż jesteśmy na Wadze. Krótko tu bawimy, widoki stąd na wszystkie strony  
zajmujące, a choć nam dobrze znane, nigdy ich się dość napatrzeć nie można. Ale dzień  
ku schyłkowi. Zdawałoby się, że bez namysłu obierzemy drogę do Czeskiego i Doliny  
Białej Wody, gdy nagle, nie wiem już dobrze w czyjej głowie, zabłysła myśl pójścia jeszcze  
na Rysy, a stamtąd wprost na dół do Morskiego Oka. Wszakże to wycieczka bez programu!

W kilkanaście minut stoimy na jednym, potem na drugim szczycie Rysów. Pan Sta-  
niślaw, który tu jest pierwszy raz, wyskoczył przed nami jeszcze, aby się dłużej nacieszyć  
widokiem uchodzącym powszechnie za jeden z najpiękniejszych w całych Tatrach. Co  
za rozmaitość. Pod stopami w strasliwej przepaści Morskie Oko, a dalej nieco „Rybie”  
jakby jakieś zakłętę zwierciadła wśród labiryntu granitowych kolosów. Zdaje ci się, zawis-  
łeś w powietrzu nad tym czarownym obszarem. To złudzenie powiększa się, jeśli naraz  
odwrócisz się w przeciwną stronę. Tu bowiem jakby powtórzone te same motywy, ale  
prawie nad tobą. Bo choć stoisz na 7300 stóp, ale Wysoka i mało jej ustępujący Ganek  
prostopadłymi ścianami sterczą wyniosłe nad głową twoją, a u stóp ich śnieżna dolina ze  
Zmarzłym Stawem i niższe od niego Czeskie, ze swoim pysznym wodospadem. Jeszcze  
inne stawy widzisz w Mięguszowskiej Dolinie zamkniętej od północy szczytami tegoż  
nazwiska. W głębi przed tobą Baszta, Hruby Wirch i Krywań jakby oddzielna twierdza  
z licznymi niebotycznymi wałami, różniącymi się od siebie barwą i cieniem. Zaglądasz  
stąd i na wyniosłą Dolinę „Żabiego” także z dwoma stawami. Z góry podziwiasz prostop-  
padłe ściany Młynarza i oko twoje z przyjemnością odpoczywa na zielonej barwie lasów  
i gór odległych, a potem wybiega w dal, na tchnące życiem pola. Tu najłatwiej pojmujesz,  
dlaczego Wojtek Ślimak powiada, że „kiedy tak stoję na wirchu a słonko jasno świeci, to  
mi świat kwitnie”. O wpół do szóstej zaczynamy schodzić. Mamy zaledwie jeszcze dwie  
godziny dnia. Nie ręczę, czy pomiędzy czytelnikami znającymi Tatry nie znajdą się tacy,  
którzy pomysł szukania nowej drogi tędy i o tej godzinie nie nazwą grzecznie: bzikow-  
watym. Zejść zejdziemy, to pewna, ale jak i kiedy? Uzuchwaleni<sup>52</sup> jednak trzydniowym  
powodzeniem, nie wahamy się ani na chwilę. Tuż pod szczytem „przewijamy” na pół-  
nocną stronę grani wiodącej ku Żabiemu, potem zaraz spuszcza się do żlebu od strony  
Morskiego Oka. Ślimak i Tatar przed wielu laty schodzili tędy każdy raz jeden. Pierw-  
szy z „Jegomością”, drugi wracając z polowania (ręczyć nie można, czy nie z kozłem na  
plecach). Obydwu droga ta nie zostawiła przyjemnych wspomnień. Ale bo też schodzi-  
li samym żlebem, obok śniegu. Dziś zaś rychło opuszczamy przykry i bardzo śniegiem  
wypełniony żleb, a idziemy na prawo granią.

Tatar i Ślimak pobiegli naprzód, aby się przekonać czy „puści”. Raj wyszukuje co naj-  
dogodniejsze spadki. Zdziwienie nasze wzrasta za każdym krokiem. Nie tylko, że zejść

<sup>52</sup>uzuchwaleni — rozzuchwaleni. [przypis edytorski]

można, ale śmiało polecić mogę zejście z Rysów wszystkim turystom i turystkom, które były w stanie odbyć stereotypowy spacer przez Zawrat do Rybiego. Już snadź zapisane było w księdze przeznaczeń tatrzańskich, że ta wycieczka powiedzie nam się w zupełności. Prawie trzy czwarte drogi schodzimy po bardzo wygodnych stopniach, po większej części mchem, trawą lub przynajmniej ziemią pokrytych. Grań bieży niezbyt pochyło, a równoległe do pionowo stojących, a przeszło na 3000 stóp wyniosłych skał ciągnących się od Rysów do Mięguszwowskiej. Jest to droga jedna z najoryginalniejszych, a zarazem najpiękniejszych w Tatrach. Tak łatwo, tak wesoło schodzi się w tę majestatyczną otchłań, Chciałoby się iść tędy jak najdłużej. Dziś jednak niepodobna się długo zatrzymać. Słońce już zachodzi. Ku dołowi wygodne stopnie ustępują miejsce drobnemu żwirkowi i piargom<sup>53</sup>. Trzeba iść wolniej, jeśli nie potrafisz razem z nami zsuwać się po podobnych drogach. Jest to bardzo prosty sposób lokomocji. Obierasz miejsce najwięcej pochyłe i stojąc giętko na nogach, własnym ciężarem suniesz wraz ze żwirkiem sięgającym ci nieraz wyżej kostek kilka, kilkanaście, czasem kilkadziesiąt kroków.

Napotkawszy jaką przeszkodę, jaki głaz większy lub ustaloną ziemię, wyskakujesz szukając naprzód okiem dalszej ruchomej podstawy. Chodzi więc tylko o zręczne utrzymanie równowagi; o jak to idzie szybko! Jeszcze niżej ku szyi wyginającej się już na prawo ponad Morskim Okiem (tzw. Czarnym Stawem), piargi coraz większe. Już ślizgać się niepodobna, musimy iść wolno po głazach. Ta część drogi jest najmniej dobra, choć tak zwykła w Tatrach, że i na myśl nie przyjdzie narzekać na nią, tym bardziej, że pochyłość już tylko bardzo nieznaczna. Mrok zapada, stajemy nad Morskim Okiem i już dobrze po ciemku odgadywać musimy niewyraźną „perc” (ścieżkę) wiodącą po prawej stronie stawu. Po lewej byłoby nierównie bliżej, ale zdaje się, że nie przejdzie, przynajmniej po nocy niepodobna ani próbować. W dwie godziny zesliśmy z Rysów i dochodzimy do wału oddzielającego Morskie Oko od głębszej doliny „Rybiego”. Należy nam się „herba” i będzie wnet.

Tymczasem dajemy sygnał do schroniska na przeciwnym końcu stawu. Więc wystrzał jeden i drugi, i ogólny, donośny krzyk, świstania a potem „dawaj tratwę” tubalnym głosem Gronikowskiego wyartykułowane. Możeś ciekawy, Czytelniku, na kogo mogliśmy wołać, kogo się spodziewać w schronisku, kiedy Franek Dorula już od tygodnia przeszło z założonymi w tył rękami i z właściwym mu szykiem przechadzał się po Poroninie, wywiózłszy stąd sienniki i poduszki. My jednak byliśmy pewni, że tu na nas ktoś czeka. Wybierając się na wycieczkę, nie tylko, że zorganizowałem pocztę od siebie do rodziny, ale i w odwrotnym kierunku. Że zaś stanowczo nie wiedzieliśmy, gdzie pójdziemy, trzeba było wybrać gońca, który by wyszedłszy we dwa dni po nas z Zakopanego, mógł doręczyć mi list adresowany „w Tatrach”. Wybrałem do tego Wojtka Giewonta, który jest w stanie podolać takiemu zadaniu. Dałem mu wskazówki, w jakich mniej więcej schroniskach mogliśmy nocować w razie pogody, a gdzie nas ma szukać aż do Szmeksu włącznie w razie deszczu lub śniegu. Na wypadek nadzwyczajnych jakichś kierunków, na drzwiach schroniska znalazłby parę słów kredą napisanych, wskazujących przynajmniej stronę świata, Otóż Wojtek widząc trzeci dzień pogody, powinien był domyśleć się, że możemy nocować przy Rybiem, mniejsza o to, z której strony tam przybędziemy. Po hucznej tedy salwie natężamy ucho. Słychać jakiś silny głos, ale baczni górale z samej intonacji wnoszą, że „to nie Wojtków głos”. Małeńkie światelko zabłyśło w tej chwili w schronisku i odbija się w wodzie. Postanowiliśmy zejść nad Rybie. I znów wołamy. Teraz dwa głosy słychać i jeden z nich niewątpliwie Giewontowy.

— Dawajcie tratwę — krzyczy Gronikowski.

— Nie ma wiosła — była odpowiedź. Wiosła po sezonie schowane.

Z zupełnym spokojem rozkładamy się nad wodą. Choć wiosła nie ma, ale dwóch Zakopian jest w stanie i całą tratwę skomponować, nie tylko wiosła.

Tymczasem księżyc zza Rysów wygląda i spokojne wody jeziora, jakby śniąc, urocze snują złudzenia. Potoki, śniegi, szczyty gór i ciemne smugi kosówki oblane drgającym blaskiem, w lekkich, tajemniczych jakichś kreślą się zarysach, w głębinie Rybiego.

Na ponawiane od czasu do czasu „dawaj tratwę!” — odpowiada na koniec pożądanę „zaraz”.

<sup>53</sup>piarg — nagromadzenie okruchów skalnych. [przypis edytorski]



Zaimprovizowane wiosła jakoś wolno funkcjonują, tratwa za ledwie się porusza. Ledwie za pół godziny będzie tutaj, ledwie za godzinę będziemy w schronisku. Czyż nie lepiej było obejść piechotą naokoło stawu, tak jak zrobił Wojtek Raj, aby zawczasu „zgotować” wieczerzę?

Jeśli można było w zupełnej ciemności odnaleźć chodnik nad Morskim Okiem, to przy księżycu spacer naokoło Rybiego, przy dobrze wychodzonej perci<sup>54</sup>, byłby żartem; już od dawna bylibyśmy na miejscu. No, doprawdy, że nie dla zmęczenia nie zrobiliśmy tego, ale z lenistwa. Tak dobrze nam tu leżeć. Nareszcie tratwa przybija; pomagamy gałęziami smreku<sup>55</sup> wiosłować i sterować. Muzyka brzmi i Józek nie zaniedbuje rozgrzać sobie nogi „góralskim”. W szałasie już spoczywa trzech turystów, Wiedeńczyków, których W. Gładczan przeprowadził nieodczynnym gościńcem przez Zawrat. Muszą być bardzo zmęczeni, kiedy ich ani tak cudna noc, ani nasza muzykalna przeprawa nie wywabiła na ganek. A może równie jak ów stróż schroniska w Wielkiej Dolinie, nie przypuszczają, aby o tej porze uczciwi ludzie mogli się tu zjawić i to od strony nieprzystępnych skał, na które i samo oko z nieśmiałością się wdziera. Kto wie, czy mimo znużenia nie udają tylko śpiących, a zatarasowawszy się w oddzielnej komorze, nie trzymają ręki na rewolwerach, postanawiając drogo przynajmniej sprzedać życie.

Giewont przyniósł listy i to dobre listy, przyniósł świeże zapasy, nawet jabłka na kompot, które Raj wybornie umie przyrządzać. — Dobranoc.

\*

Życzę Ci, Czytelniku abyś zawsze tak dobrze spał jak my w schronisku przy Rybiem, czyli jak się teraz w Zakopanem coraz częściej słyszeć zwykło: przy „Morskiem Oku”. Z powodu nazwy „Morskiego Oka”, muszę Cię ostrzec, że jeśli kiedykolwiek napadnie Cię ochota pojechać do Zakopanego „dla poznania Tatrów” na trzy lub cztery dni, jak się to dość często zwykło praktykować, to Cię Morskie Oko nie minie. Wołasz przewodników i pytasz, jak się wziąć do wycieczki. Zakopianie są bardzo grzeczni i rozmowni. Wśród pogadanki góral już Cię wybadał i zakwalifikował. Albo jesteś kompletnym miejskim — bez urazy — niedołągą, wtedy pojedziesz wózkem do Roztoki, jeśli nie na samo miejsce; albo chodzisz jako tako choć po równej drodze, może już i dopuściłeś się Kościelisk, Strążysk lub na Gubałówkę, więc proponuje Ci drogę przez „Waxsmundzką”. Albo uważasz się za wytrawnego turystę, a to na mocy tego, że zwiedzając Szwajcarię byłeś na Rigi<sup>56</sup> koleją lub przeszedłeś przez Grimsel<sup>57</sup>, albo wreszcie wszedłeś na Faulhorn<sup>58</sup> itd. Nawiasem mówiąc, z ubolewaniem spoglądasz w takim razie na Zakopian, chodzących w kierpcach i nie znających dobrodziejstwa szwajcarskich kamaszy o funtowej podeszwie, gęsto wielkimi nabitej gwoździemi, ani długiego, również szwajcarskiego, kija. Jeśli nie jesteś egoistą, to nawet w duchu już zamierzasz zreformować pod tym względem pocziwych tatrzańskich górali, którym Pan Bóg dał takie dobre nogi, a takie nędzne obuwie i ciupagi. W tym tedy trzecim wypadku będziesz przeciągnięty przez Zawrat i Świstówkę.

O czwartej możliwej, choć znacznie rzadszej kategorii, pomówimy później.

Owóz<sup>59</sup> w każdym z powyższych przypadków, dodawszy do kwalifikacji twojej przebytą drogę, sumy okażą się równe, to znaczy, że znajdziesz się<sup>60</sup> jeszcze przed dojściem do celu wycieczki zbity, znużony, zbolały, ledwie dyszący i wyrzucający sobie z goryczą lekkomyślność, która Cię tu zawiodła, na drogi tak różne od wygodnych alei Saskiego, Strzeleckiego<sup>61</sup> lub jakiego bądź innego ogrodu. Coraz bardziej niecierpliwisz się „ona-czysz” (znaczy: męczysz, nudzisz) przewodnika pytaniami „a czy daleko jeszcze do tego Morskiego Oka” „a kiedyż tam będzie to Morskie Oko” itd. Na próżno góral pociesza Cię z dziesięć razy: że „zaraz za tym brzeżkiem”, że już nie „precz” (znaczy, niedaleko).

<sup>54</sup>perć — ścieżka w górach. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>smrek — świerk. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Rigi — szczyt w Alpach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Grimsel — przełęcz w Alpach Berneńskich. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Faulhorn — szczyt w Alpach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>owóz — otóż. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>znajdziesz się — okażesz się. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Saski, Strzelecki — parki w Warszawie i Krakowie. [przypis edytorski]

Na próżno chwali Cię „jak to oni dobrze chodzą, ho, ho, mogliby iść i na Gierlach” itp. Wszystko to coraz mniej pomaga i czujesz się dobity.

Wreszcie spostrzegasz przed sobą wysokie skały zamykające pionowo horyzont, no, tu już wyraźnie świat deskami zabity, przecież dalej iść niepodobna. Jeszcze jeden „brzeżek” i stajesz nad wielkim zwierciadłem wody, u stóp owych skał prostopadłych.

— A więc to, to jest Morskie Oko! — nie pytając już, wykrzykasz<sup>62</sup>.

— A hej — przytakuje góral, z politowaniem spoglądając na twoją pocieszoną, naturalnie w tej tylko chwili, fizjonomię.

Nie wierze mu na miłość boską, o przyszły taterniku, jeśli Ci istotnie prawda miła.

— Jak to — rzekniesz — więc on mnie okłamuje?

No, niby tak po trochu, ale czyni to z dobrego serca. Wprowadza Cię w błąd rzeczywistości, ale głównie przez litość nad Tobą i tylko niekiedy łączy się z tym mała cząstka krótkotrwałej niechęci, jeśliś go przez drogę „godnie wyonaczył”<sup>63</sup>. Dla niego wprowadzie to, przed czym stoisz, było, jest i będzie zawsze „Rybie”, a Morskie Oko, tam nad Rybim wysoko. Ale w głowie górala odbywa się taki mniej więcej proces myślenia: „Ta bieda i tak już ledwie łązi; choćby i chciała iść wyżej, to ci się jeszcze gdzie przekopytnie, jeszcze byś to musiał na plecach dźwigać. Zresztą to się i na górach nie rozumie! Czy ta, czy druga woda między skałami, to jemu tam wszystko jedno”.

Zwykle ma słuszność.

Wprawdzie, gdy się wyśpisz choć na twardym tapczanie, gdy cię góral gorącą „herbą” otrzeźwi, nakarmi, chętnie się z ganku rozpatrujesz w tej dziwnej ustroni. Jeśli nie masz wodowstrętu (*sit venia verbo*)<sup>64</sup>, to i na tratwie chętnie usiądziesz i każesz się przewieść na drugą stronę. Tam, trzeba być sprawiedliwym, twój przewodnik nigdy nie zaniedba się zapytać: „a może by chcieli zobaczyć Czarny Staw, co tam jest wysoko?”

Tej drugiej nazwy, tyle razy powtarzającej się w Tatrach, używają przewodnicy jako niby *petit nom de guerre*<sup>65</sup> dla właściwego Morskiego Oka. „A niech sobie tam będzie” — odpowiesz spojrzawszy na stromą, pięćset stóp pnącą się perć. „Nie ma czasu, musimy się spieszyć” — nie wiadomo po co — „do domu”.

Góral jest w porządku, a i tobie się zdaje, że jesteś także, już masz dosyć „Morskiego Oka”.

Jeśli jednakże znajdujesz się w czwartym możliwym wypadku, tj. jeśli naprawdę masz kwalifikację na taternika, jeśliś się tak urządził, że możesz choćby nie cały dzień, ale przynajmniej większą część dnia pozostać na miejscu, to każdy góral najchętniej Cię doprowadzi do rzeczywistego „Morskiego Oka”, bo oni wszyscy dumni są z niezwykłych piękności swoich gór. Gdybyś mnie zechciał kiedy posłuchać, szanowny Czytelniku i nie kwapił się do powrotu, to radziłbym Ci, zamówiwszy sobie, rozumie się, odpowiednią pogodę, pójść znad Morskiego Oka nie oglądając się poza siebie, tak około 150 do 200 kroków pod górę ku Żabiemu i to koniecznie między pierwszą a czwartą po południu. Potem zwróć się nagle i spojrzysz w Morskie Oko, czy, jeśli je tak wolisz nazywać, Czarny Staw. Przynasz mi wtedy, że to jest równie cudny, jak niezwykły efekt. Wysokość tych części<sup>66</sup> czarnych, częścią blaskiem słonecznym oblanych prostopadłych ścian, podwaja się przez odbicie w wodzie. U góry i u dołu niebo. Patrzysz w zwierciadło stawu, jakby przez jakiś olbrzymi czarodziejski pierścień, jakby na drugi świat pod tobą albo przynajmniej na drugą stronę kuli ziemskiej. Co dziwniejsza, że gdy przy oświetleniu właściwym tej porze dnia, zieloność powlekająca tu i ówdzie boki jakiejś turni daleko prędzej uderza wzrok twój w wodzie, bo jest jakby werniksem powleczone, aniżeli na skałach ponad wodą, gdzie gubi się w matowej, szarej lub czarnej przestrzeni, tym bardziej ulegasz złudzeniu, że tam w dole widzisz świat inny; niechże jeszcze lekki wietrzyk zmarszczy zwierciadło wody, cały ten drugi obraz drga życiem, którego nie mają ponure kolosy sterczące nad jeziorem.

<sup>62</sup>wykrzykasz — wykrzykujesz. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>godnie wyonaczył — mocno wymęczył. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>sit venia verbo (łac.) — niech mi wolno będzie powiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>petit nom de guerre (fr.) — pseudonim. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>częścią — częściowo. [przypis edytorski]

Wracając raz jeszcze do nazwy Morskiego Oka i Rybiego Stawu, jeśli mi nie wierzysz, Czytelniku, zapytaj z wyłączeniem tego „wyonaczonego”<sup>67</sup> przewodnika, wszystkich górali z północnej i południowej strony Tatr, zapytaj wszystkich dawniej, a z małym wyjątkiem i dziś piszących o Tatrach, poradź się wszystkich kart<sup>68</sup> tatrzańskich, a przekonasz się, że mam słuszość. Zajrzyj przede wszystkim do Staszica, który te miejsca z sumiennością, staraniem i zadziwiającą ścisłością badał wtedy, kiedy jeszcze nie bywało w Zakopanem podobnych tobie — zawsze bez urazy — taterników, pytających co chwila, dlaczego to jeszcze tak daleko do tego Morskiego Oka.

Wszystkie te uwagi, mające niby służyć ku pożytkowi i zbudowaniu twemu, szanowny Czytelniku, stanęły mi w myśli, gdy dobrze wyspany wyszedł na ganek schroniska przed wschodem słońca, podziwiając nie wiem po który już raz, zawsze świeży i zawsze uroczy obraz. Nasi turyści znad „modrego Dunaju” spoczywają jeszcze. Po niejakej chwili wychodzi jeden z nich, jakiś młody doktor, ale już nie pamiętam czego. Zaczyna zwykłą rozmowę, wypytując o szczegóły miejscowości, o naszą wycieczkę itd.

— A i my byśmy chcieli też być choć na Gierlachu i Łomnicy.

Spojrzałem bliżej na jego zmęczoną figurę i zapytałem Gładczana:

— A jak oni tam szli wczoraj?

— Eh, kiepsko — rzecze węzłowato przewodnik.

Turysta musiał w tej chwili dostrzec na twarzy mojej jakiś gest wąpiący, bo dodał:

— A dlaczegożby nie, to przecież musi być coś w guście Zawratu, a myśmy wczoraj tam byli.

— No, niekoniecznie — rzekę — Zawrat to właściwie nie wycieczka, ale gościniec tatrzański, którą na wycieczki i damy chodzą.

W tej chwili dwaj pozostali wynurzyli się także ze schroniska, ale z postawą jeszcze mniej obiecującą.

— Mnie się zdaje — dodałem — że panowie przeszedszy Polski Grzebień, będziecie mieli dość.

Nie byli jakoś ciekawi ani „wyższego” stawu, ani nawet nie przewieźli się tratwą przez „niżni”<sup>69</sup>.

Gdy Gładczan po paru dniach wrócił do domu, opowiadał, że przyszedłszy do Szmeksu, istotnie mieli dość.

Pogoda trwa zawzięcie. Przez całe lato takiej nie było. Odbywamy naradę. Tak nam tu dobrze, iż postanawiamy pozostać przez większą część dnia. Mamy wszak zupełne do tego prawo. Więc kto z wędką na pstrągi, kto do kąpieli w stawie, kto bawi się jeżdżąc na tratwie. Potem zbieranie roślin w jakich niedostrzeżonych jeszcze zakątkach. Kapela też nie próżnuje, więc i podłoga schroniska dudni. Aż dobrze z południa wyciągamy do Roztoki.

Tu już po każdej wycieczce z urzędu<sup>70</sup> muszą się odbyć ogólniejsze tańce. Istotnie ja — choć tu więcej ochoty. Nawet Szymek, odłożywszy nieco na bok powagę, tańczy i tańczy doskonale, a zdarza się czasem, że jak zacznie, to i cztery godziny z rzędu nie spocznie. Ale to tylko w deszcz, kiedy dalej iść nie można. Dziś pogoda, więc załatwiamy się w parę godzin. Namiot i część pakunków odprawiamy z depeszą do domu. Nad wieczorem powoli, jakby z niechcenia<sup>71</sup> ciągniemy do Jaworzyny. Już jesteśmy na niskiej przełęczy oddzielającej Jaworzynską Dolinę od doliny Białki, już „Kościeliska” nuta zwiastuje<sup>72</sup> nas z daleka. Zewsząd wylęgają ciekawi, oglądać mniej zwykłych w tej porze gości. Na widok choć już zmniejszonego, ale zawsze dość licznego pocztu górali, z muzyką i śpiewem, poznają nas od razu. Dobrze, bo też jesteśmy tu znani. Już uprzejma gosposia z oberży, znakomitość w sztuce kulinarnej, stoi przede drzwiami i kiwając głową, uśmiechem oznajmia, że nas poznaje, choć się już w tym roku nie spodziewała.

Jaworzyna węgierska mocno przypomina zakopiańskie „Hamry”. Podobne położenie w wąwozie, takie same domki robotników, zwierzyniec, czarne, żuźlami wysypane

<sup>67</sup>wyonaczony — wymęczony. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>karta — tu: mapa. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>niżni (gw.) — niżej położony. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>z urzędu — tu: zwyczajowo. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>z niechcenia — od niechcenia. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>zwiastuje — zapowiada. [przypis edytorski]

drogi, Są tu kuźnice, a teraz i młyn do mielenia „smreków” (zn. świerków) na papier. Wesoly i śpiewny ludek z przyjemnością zużytkowyywa<sup>73</sup> świeżo przybyłą kapelę i znów podłoga dudni długo wieczorem. Jest dla odmiany i dobre piwo; „herba” kipi obficie, gwar wesoly. Nawet jakiś rodzaj maskarady urządzi się naprędce. Ktoś z miejscowych facetów przebiera się za konia czy wielbłąda, ku wielkiemu przerażeniu żeńskiej połowy towarzystwa. Wyszukajcie mi na jutro rano M. Dobranoc, chłopcy!

\*

Znów pogoda. Wyszukano M. Jest to dawny robotnik; *per modum*<sup>74</sup> przewodnik po miejscowych górach; w chwilach zaś wolnych od zatrudnień, a tych ostatnich ma bardzo mało, oddaje się „palence” (zn. wódce). Szkoda, widocznie chłop niegdyś tęgi, w ostatnich latach bardzo podszarzony<sup>75</sup>. Kiedyś robiąc kilkodniową wyprawę w pasmo Murania, wziąłem go z sobą nie dla wskazywania drogi, bo przy Zakopianach to jest zbyteczne, ale dla zebrania nazw miejscowych dla turni, regli, dolin itd. Pomimo, że wówczas „palenka” mniej jeszcze dała mu się we znaki, biedak po pierwszym dniu tak był „zmachany”, żeśmy go ledwie dowlekli na nocleg „hipnąwszy”<sup>76</sup> co prawda po tęgiej wycieczce na kilka szczytów, przez regle i wzgórza, przez niepraktykowane drogi do Żdźaru i to już późno w nocy. Pomimo mniej wesolych wspomnień z owego czasu M. chętnie opowiada turystom, jako to on nas wodził po Hawranii, Trystarskiej, Szerokiej Bielskiej itd. Z widoczną też radością nas powitał.

— Poprowadzicie nas dziś przez „Nowy” na Jagnięcą Zagrodę? — zapytałem.

— A czemuż by nie — rzecze.

— No, to dalej w drogę.

Idziemy przez ten piękny świerkowy las, tuż za oberżą. Potem na prawo, „Między ścianami” przez dolinę oddzielającą Murań od Kiczory<sup>77</sup>. Patrząc na piękne rozłożyste turnie Murania i Hawrania na przykład z Gubałówki, sądziłbyś, Czytelniku, że to oddzielna jedna góra. Ani byś odgadł, że to tylko bok bardzo długiego pasma, a jeszcze mniej domyśliłbyś się, aby w nim mogły się mieścić takie długie i szerokie doliny, takie kolosalne wąwozy, żleby. A jakaż to pyszna roślinność. Lasy mieszane, dużo buków, jaworów (właściwie klonów jaworowych), skoruszy (jarzębiny). Zaraz widać, że to wapień.

M. przy ochoczej kapeli nie idzie, ale tańczy, przypominając lepsze lata. Podchodzimy pod „Nowy”. Obszerny, niezbyt spadzisty żleb, aż pod sam Murań wybiega. Nad żlebem zaś, przez całą jego długość sterczy prostopadły, wyniosły biały grzbiet. Z tej strony nie znałem jeszcze „Nowego”, a miałem tu specjalny briologiczny<sup>78</sup> interes. Po tamtej stronie grzbietu wąwozy i żleby głębokie, zawile i strasznie urwiste. Przemierzaliśmy je przed kilku laty we trzech z Szymkiem Tatarem i Wojtkiem Rajem, i na wspomnienie tego dnia wszyscy trzej głośnym wybuchamy śmiechem. A było tak. Wracaliśmy z jakiejś dłuższej wycieczki wózkami od Żdźaru ku Podspadam<sup>79</sup>. Było to późną jesienią i gruby śnieg leżał na całym paśmie wierzchem. Spojrzawszy w tajemnicze głębie wąwozu pod „Nowym”, pytam moich towarzyszków, czyby nie warto go poznać bliżej. Idziemy. Gąszcz lasu, wilgotne, śliskie, a bardzo strome ściany, zakręty, ustępy, progi, wiodą wciąż w górę. Ani końca. Nie wiem jak długo trwało, zanim dostaliśmy się na jakąś przełęcz, skąd znowu po błotnistym rąbanisku niesłychanie długo musieliśmy schodzić ku Podspadam.

— No, ale też ta droga to już nie z masłem — rzecze tak wytrwały zawsze Wojtek.

— A no, bo też to przecie środa.

Trzeba wiedzieć, że Wojtek nader skrupulatnie obserwuje posty<sup>80</sup>. Zeszliśmy nareszcie na jakąś łączkę przy drodze.

— Wojtku, jeść!! — krzyknąłem wniebogłosy.

<sup>73</sup>zużytkowyywa — zużytkowuje. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*per modum* (łac.) — na wzór. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>podszarzony — zniszczony, zużyty. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>hipnąwszy (gw.) — skoczywszy. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Kiczora — Kiczora i Magóra dwie często w Tatrach i Beskidach powtarzające się nazwy; dawne, bo już przez Ptolomeusza przytaczane. [przypis autorski]

<sup>78</sup>briologiczny — związany z badaniem mchów. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Żdźar i Podspady — miejscowości w Tatrach na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>obserwuje posty — przestrzega postów. [przypis edytorski]

— Wojtku, je-e-ś!!! — jeszcze przeraźliwiej i jeszcze półtonem wyżej. Co prawda, nie byłem tak głodny, ale chciałem Wojtkowi zrobić przyjemność.

— A chwała Bogu — rzecze uradowany — że choć raz jeden nie trza was nukać<sup>81</sup>. I jał wydobywać różne zapasy. Odpoczywaliśmy przy ognisku i pokrzepiali się „herbą” i jadłem.

— A może byście jedli jaja — pyta Wojtek — nakupiłem na Węgrach umyślnie dla was.

— Dobrze, Wojtku, gotuj jaja.

Wojtek „nagotowił” aż siedem. Zjadłem dwa, resztę oddałem moim towarzyszom. Nie pamiętam, jak wyszli z tego zadania, aby podzielić pięć na dwie równe części, ale wiem, że jedli oba. Gdy zaś potem Wojtek suchy chleb maczał w herbacie, rzekłem śmiejąc się:

— Patrzaj no, Szymku, jak się to Wojtek boi masła, a jaja to zajada.

— He, he, he — zaśmiał się grubym basem Szymek i zwracając się do Wojtka:

— Przecie do jaja nic nie trza dokładać i będzie z niego kurczę, a do masła dokładaj co chcesz, to cielęcica nie będzie.

Purpurą spłonął Wojtek, który choć biegły w przepisach kościelnych, a nawet kano-nicznych, wyraźnie na tym punkcie się załapał.

Dochodzimy pod Murań. Spoczywamy. M., im bliżej „Jagnięcej Zagrody”, tym więcej opowiada jak tam źle wejść, wielu to nie weszło, choć się grubo zakładali. Zakopianie zaczynają go brać na fundusz. Szymek siedząc poważnie i nie wyjmując z ust fajeczki, rzecze półgłosem jakby po długim namyśle;

— Ja ta chyba już nie pujdem, bo się bojem.

— Dajcież spokój — rzecze stojący przy nim Raj, jakby mu chciał dodawać odwagi — przecież by on (M.) nas na pewną śmierć nie prowadził; przejdziemy może. M. brał to na serio.

Wchodzimy na stromą grań, potem pod same ściany szczytu Murania. Wystaw sobie, Czytelniku, ściany paręset stóp raczej nad tobą pochylone niż prostopadłe i tak cały szczyt wokół. W jednym tylko miejscu pnie się po ścianie wążuchna i mniej wygodna perć i ta w znacznej już wysokości zagrodzona wysokim progiem, a raczej barykadą kilka stóp długą, wąską, a w dodatku od strony przepaści pochyłą. Na wiosnę górale przesadzają przez ten próg jagnięta na pyszną szczytową halę (zn. pastwisko górskie) i nie zaglądną do nich aż w końcu lata, aby je znowu poprzesać z powrotem do domu. M. wyzuł się z kierpcy, zdjął z siebie wszystko, co zdjąć mógł bez obrażenia naszej wstydlivosti i zabierał się nie bez widocznego zakłopotania do dania nam przykładu. Tymczasem Józek dawno już z całym swoim zwykłym pakunkiem przeszedł na drugą stronę i my już się za nim przebieramy. W rzeczy samej próg ten jest niemiły. Można by go w pół godziny tak urządzić, że i jagnięta by były zawarte i M. nie potrzebowałby się tak roz-bierać. Szczęściem, że mu górale dodali dobrze araku do herbaty, tak mniej więcej pół na pół, bo by go w koszuli dobrze „wygwizdało” na hali, choć dzień był pogodny i niby ciepły. Podziwiał też cudowne skutki tej „herby”, bo mu Zakopianie wmówili, że była czysta, tylko że tak mocno naciągnęła. Wystawiam sobie, że jagnięta mają tu rozkoszne życie. Rozległa, pochyła płaszczyzna aż do samego szczytu bujną, śliczną paszą zarosła. Tu i owdzie trochę kosówki, jakby na schronienie od burzy i deszczu. Tylko niestety orły spod Łomnicy czasem je tu odwiedzają, wybierając dziesięćcinę<sup>82</sup>. Jest także podanie, że razu pewnego, sprzykrzywszy sobie zbyt jednostajny choć wygodny żywot, wszystkie jagnięta jednogłośnie postanowiły i wykonały wycieczkę. Naprzód jedno, stanąwszy nad urwiskiem i wyjrawszy na ten piękny, obszerny świat — wyskoczyło. Za nim po kolei wyskoczyły wszystkie — w przepaść. Zdążamy na szczyt, ale niestety chmury osiadły na wirchach i przecudna panorama Tatr tym sposobem zepsuta. Pierwsze to nasze i ostatnie na tej wycieczce niepowodzenie. Po paru godzinach schodzimy. Ów próg z powrotem jeszcze mniej miły, bo trzeba na czworakach spuszczać się z głową mocno ku dołowi po-chyloną. Wszelako M. przeszedł jeden z pierwszych, widać, że mu pilno było do serdaka (zn. kożuszek krótki bez rękawów) i czuchy.

— A czy byśmy nie zdążyli na noc tak na przykład do Żdżaru.

<sup>81</sup>nukać — namawiać, zachęcać (gw. podhalańska). [przypis edytorski]

<sup>82</sup>wybierać dziesięćcinę — zapewne żartobliwa aluzja do poboru podatku kościelnego. [przypis edytorski]

— A czemu nie — rzecze M. — przez Podspady, Cesarką (znaczy, szosą)<sup>83</sup>.  
— Ale ba, ja bym myślał przez wirchy.  
— A no, co to, to już nie.  
— Eh, przecież owsy już posprzątane, to by łatwiej było niż wtedy, byle się tylko z regli wydostać.

— Eh, nie, to już nijak — zapewniał M., a Zakopianie śmieli się do rozpuku na wspomnienie owej dawnej wycieczki.

Schodzimy dalej inną stroną góry, zrazu lasem, potem po jakimś rąbanisku zarośniętym cudownymi malinami, z których mi było trudno wywabić moich górali, W oberży czeka nas wieczerza wytworna, bo nawet z kompotem, do którego zrobienia musiał się jednakże aż Wojtek przyczynić, gdyż owoce w tych stronach mało są znane i nasza gospośnia tego zadania rozwiązać sama nie była w stanie. Przyjechał też i Marcinek po nas, a obrządziwszy koniki przytupuje już skocznie i już słycać jego „ej dyna dyna dyna”. Tymczasem M. odebrawszy z powodu żartów, jakich się względem niego dopuszczaliśmy, hojniejszą niż może się spodziewał zapłatę, już zakomenderował „palenki” i zebrawszy sobie jakieś audytorium na stronie, opowiadał, co to on z nami miał za biedę, zanim nas na Murań wyprowadził.

— Widzi się, że tęgie chłopy, a jak przyszło przejść przez próg, to jak baby.

Zakopianie słuchając z boku zanosili się od śmiechu, nie przerywając mu wcale.

— Słuchajcie no, Wojtku — rzekę do Ślimaka — wyprawcie tego biednego M. z karczmy, niechże przecie choć raz w rok jaki grajcar do domu przyniesie.

Ślimak, człek miłego melancholijnego oblicza, surowych obyczajów i niesłuchanie delikatnego obejścia, ale przy tym jako dawny wojak stanowczy w postępowaniu, dobrawszy do pomocy Raja i Szymka, wziął się do dzieła. Najprzód wciągnęli do kompletu gospodynię, która oświadczyła krótko i węzłowato, że M. ani kropli palenki więcej nie dostanie.

— Aha, to taka wdzięczność — zawoła do żywego obrażony — a czy wiecie, że żeby nie ja, to byście ich tu dziś nie mieli, bo już chcieli chyba<sup>84</sup> do Żdżaru na nocnik (sic!).

Nowe huczne śmiechy. Nic nie pomogło. M. wyłączony za nawias, zawiedziony w całodziennych nadziejach, musiał rad nierad wrócić dziś do domu na trzeźwo. Górale tańczyli długo.

\*

Niewiele Ci już mam do powiedzenia, szanowny Czytelniku. Znów pogoda. Marcinkowe siwki wypocząwszy dobrze, wiozą nas wszystkich rześko do domu. Mijamy Jurgów, ostatnią węgierską wioskę, z niezbędną osadą Cyganów wybierających trybut od przejezdnych. Ciało Cyganów, zaledwie szczątkami jakiegoś odzienia tu i ówdzie obwieszane. Każdy z nich przypomina mniej więcej ten most nieopodal od ich lepianki wiszący nad Białką, a który jej wcale także nie przykrywa. Wiedziony metodą ścisłego rozumowania dzisiejszych, nie tyle tak zwanych, jak raczej tak siebie nazywających pozytywistów, znalazłem w tym nowy dowód wpływu otoczenia na człowieka, mianowicie na człowieka natury. Cyganie mają do tego pewne prawa. Ciekawy byłbym, jeśli kiedy przecie ten most się zawali i jeśli, co jest mało prawdopodobne, postawią tam nowy, w jakim czasie odzienie Cyganów przestanie także być dziurawe?

Jeśli, o Czytelniku, nie smakujesz w moich hipotezach, to bądź przynajmniej wyrozumiałym. Zaręczam Ci, że jeśli w dziesięciu siądziesz na wózek Marcinka i poddasz się kłusowi po takiej drodze jak ta, którą jedziemy, to z pewnością nic lepszego nie sprodukujeś. Za to oszczędzę Ci Bukowiny i z przyległościami. Oto już widać Poronin. Za półtorej godziny będziemy w Zakopanem. Ależ na miłość boską, ledwie południe! I przy tym pogoda; nie spodziewają nas się w domu tak rychło.

— A gdyby tak obejrzeć Sichle i Toporowe Stawki?

— Zgoda.

<sup>83</sup>Cesarka — galicyjski cesarski trakt drogowy. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>chybać (gw.) — biegać. [przypis edytorski]



Opuszczamy Marcinka i jego wózek, dając mu *rendez-vous* w Jaszczurówce, sami zaś puszczamy się piechotą pod „Mur za Sichłem”<sup>85</sup>. Jest to grań niewysoka, ale prostopadła nad potokiem i co prawda, nie wiem na pewno, czy ją tak kto nazywa, ale zdaje się, że tak się zwać powinna prędzej niż wioska tuż przy niej leżąca. Sichle bowiem jest to znów inna wioska wyżej ku regłom.

Że tędy od stworzenia Tatr żaden turysta nie chodził, to pewne, bo cóż by tu robił. A jednak ciekawą jest formacja błotnistej i kamienistej doliny, która od „Suchej Wody” tu właśnie wybiega. Mieszkańcy Sichłego pilnie dziś pracują w polu; zbierają owies. Ale zdziwieni muzykalnym i widocznie próżniaczym naszym orszakiem, przystają i przypatrują się nie bez pewnego zgorszenia. Zdawało mi się, że jakaś matrona z wyraźną ironią mruknęła:

— Ot, Zakopanie świata dokończają.

Ale to podobno co innego było powiedziane i nie wiem, czy by to i miało sens. Lasem i mnóstwem dróg leśnych dochodzimy wreszcie do głównego Toporowego Stawu. No, może by jaki mało wymagający pejzażysta i upatrzył nad nim jakiś punkt do zrobienia szkicu. Ale dla nas piękny staw to nie nowina. A cóż tu pięknego. Wokoło gęste smreki, brzegi mało wzniesione, długa, mętna, czerwona woda, której nawet do zrobienia „herby” użyć nie można, bo już naciągnęła do syta smrekowych igieł. W górze za tym obszerne zarośla, torfowiska i mniejsze zbiorniki wody lub błota; ot i wszystko. Wynosimy się co prędzej, zgodziwszy się jednomyślnie na to, że mają rozum ludzie, którzy do Toporowych Stawów nie chodzą. Lepiej na nie patrzeć z góry, kiedy z wolna idziesz przez Waksmundzką na wycieczkę, lub kiedy szybko tamtędy wracasz przed nocą do domu.

Ostatni etap w Jaszczurówce. Wesoło. Przed zmrokiem wózek Marcinka wiezie do domu dziwną grupę siedzących w niemożliwych pozach tatarników. Naturalnie zawsze z muzyką.

Gdyśmy nazajutrz jawili się u „Jegomości” dla złożenia sprawy z wycieczki, gdyśmy mu opisali drogę z Gerlachu i Rysów, zawołał tenże z uśmiechem:

— Bodajże was Bóg oświecił! A to żeście mnie prawie (znaczy, zupełnie) okradli!

„Bodajże was Bóg oświecił” jest to wykrzyknik, którego „Jegomość” używa w potocznej mowie w tych razach, gdzie inni, nie wyjmując i Ciebie, szanowany Czytelniku, powiedzieliby może: „a niechże was donder świśnie”.

Jegomość, który po każdej wycieczce swojej tegoż samego dnia wieczorem zapewnia, że to już ostatni raz wyszedł w Tatry, a nazajutrz rano powiada, że jak znowu pójdzie, to się tak a tak musi urządzić, przebąkiwał całe lato, że pragnie jeszcze jedną dłuższą wyprawę odbyć, ale nam nie chciał powiedzieć, jaką. Nie mógł zaś iść z nami, bo nie miał go kto zastąpić. Tak, do Gąsienicowych Stawów za to idzie z parą razy na tydzień, bo to trwa tylko kilka godzin.

— A po cóż żeście tajemnicę z tego robili, toż byśmy się nie poważyli chodzić tam przed wami.

Łaskawy Czytelniku, zwracam uwagę twoją, że epitetu „łaskawy” na końcu tego artykułu używam poniekąd jako *captatio benevolentiae*<sup>86</sup>. Gdybyś wiedział, jak źle wyglądałem wychodząc na tę wycieczkę i jak dobrze z niej wróciłem, kiedy własna żona oczom swoim wierzyć nie chciała, to darowałbyś mi niewątpliwie, że i Ciebie tak długo po Tatrach wodziłem. Poczucie odzyskania sił sprawiło, że pomimo wrodzonej powściągliwości pióra (muszę sobie oddać tę sprawiedliwość), pierwszy raz przedsięwziętem skreślić moje wrażenia. Ale dla uspokojenia Cię przyrzekam najuroczyściej, że się to nie powtórzy, choćby mi losy dozwoliły jeszcze oglądać nasze ukochane Tatry.

Zakopane, 25 września 1878 r.

<sup>85</sup>Mur za Sichłem — obecna nazwa wioski: Murzasichle. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*captatio benevolentiae* (łac.) — zjednanie sobie względów. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chalubinski-szesc-dni-w-tatrach/>

Tekst opracowany na podstawie: Tytus Chałubiński, *Sześć dni w Tatrach*. Wycieczka bez programu, Nakładem redakcji "Orlego Lotu", Kraków 1921.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Klaudia Jakubowicz.

ISBN 978-83-288-6228-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.